

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60

Za odosłowanie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m
 Półrocznie . . . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
 BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Parnell i sprawa irlandzka, przez J. L. P.—II. Pierwsze lata działalności Parnella, przez J. Książca. — III. Pochodzenie szlachty, przez T. S.—IV. Fryderyk Diesterweg, przez W. P. Grabińskiego.—V. Głosy.—VI. Z kraju, przez J. Nieborskiego. — VII. Z Wiednia, przez Veritasa. — VIII. Korespondencyja: z Bobrujska, przez M. B.—IX. Przegląd społeczny.—X. Przegląd polityczny.—XI. Kronika literacka.—XII. Kronika powszechna.—XIII. Ogłoszenia.—XIV. Odcinek: Wysadzony z siodła, przez A. Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

Od redakcyi.

— W r. 1891 *Głos* wychodzić będzie nadal na warunkach dotychczasowych.

Czytelnicy, którzy znają pismo, wiedzą, że dla rozwoju jego, co będzie w mocy naszej—uczynimy.

Nie robimy szumnych obietnic; rozwój pisma w znacznej mierze zależy od poparcia czytelników, zwłaszcza pisma, które nie ma na widoku zysków osobistych wydawcy.

O ile fundusze nam pozwolą, będziemy pismo powiększać i ulepszać, rozszerzać wreszcie zakres działalności naszej za pomocą wydawnictw.

Czytelników powiadomimy o naszych zamiarach, których spełnienie od nich przede wszystkim zależy.

Sz. Prenumeratorów, dla uniknięcia zwłoki w otrzymywaniu pisma, prosimy o wcześnie odnawianie przedpłaty.

Parnell i sprawa irlandzka.

Głupia sprawa rozwodowa kapitana O'Shea z jego romansową małżonką, a raczej zaplątanie do tego skandalicznego procesu Parnella, w roli cudzołózczy—stało się jakoby powodem bardzo doniosłych wypadków politycznych. Sojusz liberałów angielskich ze stronnictwem narodowym irlandzkim o mało nie został zerwany, a i dziś pewności nie ma—czy się utrzyma. Partya irlandzka rozbiła się na dwa odłamy, a rozdzielenie to przejść może do mas ludowych. Dotychczasowy wódz parlamentarny, uznany przedstawiciel ludu irlandzkiego—opuszczony przez swych przyjaciół i stronników, odwołuje się do całego narodu i jego wyroku czeka.

Czyż istotnie skandal rozwodowy jest tych doniosłych skutków drobną przyczyną? Tak zapewniają zgodnie dziennikarze, chociaż rozmaicie sam fakt oceniają. Jedni zachwycają się purytańską surowością Gladstone'a i angielskiej opinii publicznej względem „uwodziciela i cudzołózczy”, drudzy, pobłażliwi dla błędów kawalerskich, oburzają się na starego po-

bożnisia i na hypokryzję brytańską. I jedni i drudzy jednak ostrzej lub łagodniej potępiają Parnella, że dla własnej ambicyi, dla utrzymania się na stanowisku wystawia na niebezpieczeństwo sprawę narodową.

I jedni i drudzy myślą się w tym wypadku. Ani Gladstone nie byłby względem Parnella tak surowym, gdyby nie miał w tem interesu politycznego, ani opinia brytańska nie byłaby tak bezwzględna, gdyby nie chodziło o wroga Anglii. Proces skandaliczny mógł obalić karierę Dilke'a, ale ludzi tej miary, co Parnell, skompromitować nie może. Hypokryzja angielska godziła się wybornie z rozpusztą Pitt'a i Wellingtona, z szulerstwem Sheridanem, z łobuzowaniem Foxa. Skandale, jakie wykryła przed paru laty *Pall Mall Gazette*, skandale stokroć haniebniejsze od sprawy o cudzołóztwo, dotyczyły wielu osób, zajmujących w rządzie lub w opozycji wybitne stanowiska polityczne, i bynajmniej im nie zaszkodziły. Zresztą irlandczycy, którzy decydowali w tej sprawie, nie są wcale wyznawcami moralności purytańskiej i żadnemu z nich nie przyszło do głowy brać za złe Parnellowi, że przystawił rogi kapitanowi O'Shea. Wesołe dzieci Erinu odznaczają się w takich wypadkach szczególną pobłażliwością.

Trudno przypuścić również, żeby Parnell, wobec oburzenia opinii publicznej, gwałtem chciał utrzymać się na stanowisku, tymbardziej, że chodziło tu tylko o zrzeczenie się przezeń tytułu przywódcy. Człowiek, który życie poświęcił dla sprawy swego narodu, nie narażałby jej lekkomyślnie, jak nie narażałby swej sławy i swego wpływu na lud dla błahego powodu.

Wreszcie pocóżby deputowani irlandzcy przez 10 dni z rzędu toczyli ożywione rozprawy, naradzali się pomiędzy sobą, konferowali z Gladstonem i liberałami angielskimi, gdyby ustąpienie Parnella było zadośćuczynieniem koniecznym dla opinii publicznej i obrażonych wymagań moralności. Albo może potrzebował arcybiskup dubliński namyślać się przez tydzień: czy cudzołóztwo jest czy nie jest grzechem.

Manifest Parnella do ludu irlandzkiego wyjaśnia przyczyny ostatnich wypadków, tłumaczy postępek Gladstone'a, zachowanie się

zaś postów irlandzkich, pomijając względy ambicyi osobistej, wynika z różnicy pojmowania polityki, jakiej w stosunku do Anglii trzymać się należy.

Od lat szesnastu Parnell jest uznanym kierownikiem polityki irlandzkiej. Taktyka, jakiej się stale trzyma, polega na zachowaniu wobec partyj angielskich, zupełnej, niczem niekrępowanej samodzielności. Artykuł, jaki zamieszczamy poniżej, znaczenie polityczne Parnella i wprowadzonej przezeń taktyki działania należy oświetlać.

Rozdzielenie stronnictwa irlandzkiego w parlamencie polega na tem, że pewna część posłów trzyma ze stronnictwem liberalnym lub radykalnym angielskim, tylko do programów ich dodaje żądanie autonomii narodowej dla Irlandyi. Drugi odłam, na czele którego stoi Parnell, a za nim, jak można sądzić, idzie znaczna większość ludu irlandzkiego, ma na widoku jedynie pozyskanie samorządu narodowego i reform ekonomicznych, a stosunki ze stronnictwami angielskimi opiera na podstawie wzajemnych w danej chwili ustępstw, nie wiążąc się żadnymi stałymi zobowiązaniami, nie stając pod żadnym sztandarem partyjnym. Jest to stronnictwo irlandzkie i tylko *irlandzkie* w parlamencie *angielskim*. Jak niejednokrotnie publicznie oświadczył Parnell, jest dlań obojętnem, od której partyi angielskiej otrzyma pożądaną ustępstwa w sprawie irlandzkiej.

Dla stronnictw angielskich sprawa irlandzka w gruncie rzeczy jest niemiłą przeszkodą, którą w ten lub inny sposób usunąć należy. Jeżeli liberałni chcą nadać samorząd Irlandyi, to bynajmniej nie przez życzliwość szczególną dla irlandczyków, lecz dlatego, że uważają to jako konieczność polityczną. Pragnęliby jednak możliwie ograniczyć zakres ustępstw. Torysi znowu sądzą, że bez tego rodzaju ustępstw tymczasem obejść się można, w razie zaś nieuniknionej konieczności, uczyniliby to samo, co ich koledzy.

Parnell rozumie to wybornie i nie ludzi się frazesami i obietnicami. W manifestcie do ludu irlandzkiego sprawę całą wyjaśnia dostatecznie. Kiedy Gladstone po procesie rozwodowym ogłosił list do Morley'a, protestujący przeciw wyborowi Parnella na przywód-

cę partii irlandzkiej w parlamencie, właściwie domagał się prawa *veto* dla swego stronnictwa, a więc prawa kierowania i mieszania się do działalności parlamentarnej posłów irlandzkich. „Irlandzka, powiada Parnell, uważa samodzielną swą partię narodową jako jedyną gwarancję konstytucyjną, wyższą nad wszelkie inne względy”. „Zuchwała groźba,” że jeżeli irlandczycy nie ustąpią, to nie otrzymają samorządu, zdaniem Parnella, jest frazesem tylko. Dla wykazania, co irlandczycy stracić mogą, jeżeli nie rzucą Parnella „na pastwę wilkom brytańskim, które wyjąc, domagają się jego zguby”, przywódca *home-rulerów* odsłania tajemnicę poprzednich układów z Gladstone'm.

Wódz partii liberalnej, zgadzając się na nadanie Irlandyi samorządu z osobnym parlamentem w Dublinie, żąda:

1) Ażeby zamiast 103 posłów, Irlandzka wysłała do parlamentu angielskiego tylko 32.

2) Uregulowanie stosunków agrarnych nie będzie należało do parlamentu irlandzkiego.

3) Zarząd i kontrola działań policji zależą od rządu centralnego w Londynie.

4) Mianowanie sędziów w ciągu lat 10 lub 12 stanowić będzie przywilej rządu angielskiego.

Dodać trzeba, że w sprawie uregulowania stosunków rolnych w Irlandyi Gladstone oświadczył, iż nacisku na stronników swych wywierać nie będzie. Słowem wypada tak, że parlament irlandzki nie będzie miał prawa kwestyi tej rozstrzygnąć, a angielski rozstrzygać jej nie zechce.

Zgadzając się na tymczasowe ograniczenie kompetencji parlamentu irlandzkiego, Parnell domagał się kategorycznej odpowiedzi co do uregulowania stosunków agrarnych i zaprotestował przeciw zmniejszeniu liczby posłów, dopóki całkowity samorząd nie zostanie nadany Irlandyi.

Nieszczerość angielskich liberałów, zwa-

szcza zaś radykałów w sprawie irlandzkiej, ujawniła się kilkakrotnie w ostatnich czasach. Parnell musiał więc coraz energiczniej bronić samodzielności swej partii. Gladstone zaś i liberalni pragnęli się pozbyć takiego sojusznika i skorzystali z pierwszej sposobności.

Groźba, że w razie utrzymania się Parnella na stanowisku sprawa nadania samorządu zostanie odroczone, podziałała widocznie na posłów irlandzkich. Zresztą w gronie ich znajduje się wielu ludzi, którzy nie mogą oswoić się z wygłoszoną przez Parnella zasadą zupełnej samodzielności stronnictwa narodowego. Inni znowu nie uznają jego umiarkowanej taktyki działania. Inni jeszcze żywią ambycję przewodniczenia i radziby pozbyć się imponującego im towarzysza. W każdym razie przedewszystkiem chodziło o to, czy partya irlandzka zawrze sojusz zasadniczy z liberałami, czy też zachowa zupełną swobodę działania.

Po dziesięciodniowych naradach posłowie irlandzcy posłali do Gladstone'a zapytanie: jak się zapatruje na sprawę uregulowania stosunków agrarnych i kontrolę nad działalnością policji. Chodziło o to, czy warto poświęcić Parnella dla sojuszu z liberałami. Stary wyga parlamentarny dał wymijającą odpowiedź, że chętnie przystąpi do roztrąsania programu *home rule'u*, jeżeli sprawa wyboru przewodniczącego zostanie w ten sposób zakończona, iż będzie mógł nadal utrzymywać stosunki z klubem irlandzkim. Była to rada pozbycia się Parnella—i posłowie irlandzcy usłuchali jej. Z 73 posłów obecnych, 29 oświadczyło się za Parnellem, 44—przeciw niemu. Przywódcą klubu został powieściopisarz Mac-Carthy.

Ale, jak się zdaje, Parnell od działalności politycznej nie usunie się bynajmniej. Nie idzie tu bowiem o ambycję osobistą, ale o sprawę samodzielności partii irlandzkiej, o utrzymanie zasady działania, której przez

16 lat wytrwale bronił, o samorząd i przyszłość Irlandyi. Nie raz już wielki *home-ruler* w tak trudnym znajdował się położeniu, ale zawsze zwyciężał, ilekroć odwołał się do ludu, który i teraz nie wyda go chyba „na pastwę wilkom brytańskim”...

J. L. P.

Pierwsze lata działalności Parnella.¹⁾

(Z dzieła Pressensé: „L'Irlande et l'Angleterre”).

Karol Stewart Parnell z Avondale, w hrabstwie Wicklow należy z urodzenia do rasy anglo-saksońskiej, do kasty właścicieli ziemskich i do religii protestanckiej. Przodkowie jego, mieszkańcy Congletonu w hrabstwie Chester, przenieśli się do Irlandyi na początku XVII wieku. W roku 1787 John Parnell był kancleżem skarbu i Jonah Barrington w *Czerwonej księdze*, gdzie zapisywał oceny ówczesnych polityków irlandzkich, przy jego nazwisku położył jeden tylko wyraz: „nieprzekupny”. Dowiódł on

¹⁾ W chwili gdy rozdwojenie w stronnictwie irlandzkim stało się już faktem dokonany, ciekawem być może zapoznanie się z dotychczasową działalnością Parnella, zwłaszcza zaś z przewodnimi zasadami jego polityki. W tym celu podajemy urywek ze znakomitego dzieła Pressensé *L'Irlande et l'Angleterre*. Ponieważ jednak niedawno podaliśmy już w *Głosie* ustęp z tegoż dzieła, opisujący położenie Irlandyi w r. 1845—8, uważamy więc za potrzebne dodać kilka słów, które zwiążą bliżej dwie opisywane przez nas epoki. Po śmierci O'Connella i upadku ruchu „młodej Irlandyi” stronnictwo parlamentarne w Irlandyi pozostało bez znaczenia i wyzyskiwane było tylko przez rozmaitego rodzaju oszustów i karyjerowiczów. Ruch rewolucyjny feniański również nie doprowadził do bezpośrednich rezultatów, wywarł on jednak tak silne wrażenie na opinij publicznej w Anglii, że Gladstone przeprowadził dwie wielkie reformy: pozbawienie kościoła anglikańskiego w Irlandyi charakteru państwowego (rok 1869) i *Land-Act* (r. 1870), zapewniający fermierom wynagrodzenie za dokonane ulepszenia. Wybory z roku 1874 powołały do władzy gabinet torysowski Disraeliego i jednocześnie wystąpiło nowe stronnictwo irlandzkie, zorganizowane przez Butta.

32)

WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

— Wolne, *e-te*, żarty!... Niech mi pani wierzy, iż rola małżonki, opiekunki domowego ogniska...

— Głupstwo!... Śmieję się pan z tego!... Są kobiety stworzone na wierne żony, które nie umiałyby nawet wzbudzić miłości zakazanej... Ja nie mogłabym żyć z jednym człowiekiem... To za nudne.

— Więc moja propozycja?...

— Jest poprostu śmieszna!... Masz pan naturę szwedzkich zapalek... i wracaj wprost do swojej żony!

— Jakt!... Więc żadnej ofiary pani ode mnie nie przyjmie?

— Mogę przyjąć dobrą kolację, ile razy nie będę miała innego zaproszenia.

— Dobra myśl!... Chodźmy, *e-te*, na kolacyjkę!

— Chodźmy!... Mam apetyt na ostrygi, *chablis*...

— I nic więcej?...

— Może być kuropatwa.

— Nie o tem myślę.

— A o czemże?

W tej chwili Cieżyński spojrział znacząco na otwarte drzwi od sypialnego pokoju, w którym lampa, wisząca w różowym kłozu, rzucała drażniące światło na piękne, szerokie łóżko mahoniowe, przykryte blade-różową koronkową kapą. W Zofji dawny wstręt instynktowny do tego człowieka obudził się nagle. Odwróciła od niego głowę, i wyraz jakiegoś niesmaku, obrzydzenia zawisł chwilowo na jej ustach. Cieżyński wstrzymał się. Nie tyle takt, poczucie przyzwoitości towarzyskiej, ile obawa zepsucia całej sprawy zbytnią natarczywością zamknęła mu usta. Nastąpiła chwila milczenia, krępująca, przykra, którą jednak Cieżyński, nie dając za wygraną, przerwał niezręcznym zwrotem.

— Jakkolwiek, *e-te*, nie jestem zarozumiały co do swojej osoby, to jednak w porównaniu z Gurbaleckim...

— Gurbalecki, mój panie, ma swoje zalety: jest *stary* i *niezardrosny!*

— Może by we mnie znalazły się... inne, któreby zrównoważyły...

— Nie wiem... Boję się!...

— Czyż Gurbalecki nie ma wad?...

— Ma jedną i to wielką.

— Jaką?

— Jest okrutnie skąpy...

— Panno Zofijo!...

— Nie nazywaj mnie pan tem imieniem!...

— Przepraszam! zapomniałem się... Czy uwierzy mi pani?

— Słucham.

— Połowę mjaątku złożę u nóg pani, aby, sobie kupić jedną chwilę szczęścia!

— Mój panie! Za jedną chwilę szczęścia życiem nieraz trzeba zapłacić.

— Więc nie?

Zofija zamyśliła się. Dlaczego miałaby upierać się przy starym skąpcu, co prawda nie tak wstrętnym dla niej, jak Cieżyński, lecz pod wszystkimi względami nie miłym, skoro jej się trafia *partya* doskonała: bogacz, którego, z powodu, długo tajonej namiętności, będzie mogła prowadzić za nos, ssać przez jakiś czas przynajmniej całą pierś?

— Nie mówię, że nie... pomyślę!...—odpowiedziała tonem, w którym czuć było, że interes jest skończony.

— Stokrotne dzięki! Pani mi życie ocala!—zawołał Cieżyński, i, zsunąwszy się z fotela na kolana, zaczął, z wdzięcznością i lubieżnością zarazem, całować ją po rękach.

— No, dosyć tych karesów na dzisiaj!... Jeść mi się chce!...

— Prawda... Idziemy na kolacyjkę!... A kolacyjka będzie szyk!... Odpowiadam za to!—wykrzyknął Cieżyński wesoło, i, powstawszy z ziemi, zatarł ręce z radością, jak student, który się wybiera na pierwszą w swoim życiu eskapadę.

Zofija wyszła do sypialnego pokoju ubrać

prawa do tego epitetu, gdyż po 17 latach urzędowania podał się do dymisji, nie chcąc głosić za połączeniem Irlandyi z Angliją. Wnuk jego, John Henryk Parnell ożenił się z córką admirała amerykańskiego Stewarta i z tego właśnie małżeństwa urodził się w roku 1845 Karol Stewart Parnell. Powiadają, że ten ostatni wraz z imieniem odziedziczył wiele cech swego dziadka ze strony macierzyńskiej. Istotnie, pod względem fizycznym należy on nie tyle do rasy angielskiej co do amerykańskiej. Rysy ma delikatne, cerę bladą, a pod wątłą powierzchownością ukrywa wielką siłę muskularną i nerwową. Niczem nie dająca się zakłócić zimna krew i nieporównane panowanie nad sobą, cechy, które tylko razy okazywał, zdradzają również jego amerykańskie pochodzenie.

Wychowanie Parnella nie różniło się od zwykłego wychowania szlachty angielskiej. Studya ukonczył w uniwersytecie w Cambridge. Szczególniejsze zamiłowanie miał do nauk ścisłych, zwłaszcza zaś do mechaniki stosowanej. W nich też często szukał później wytchnienia po trudach życia publicznego. Jak tyłu wielkich ludzi, bardzo dużo zawdzięcza Parnell wpływowi matki, która natchnęła go gorącym patryjotyzmem irlandzkim. Siostry jego, wychowane w tej samej szkole, były później jego gorliwymi pomocniczkami, a jedna z nich, Fanny, pozostawiła po sobie ładne wiersze patryjotyczne.

Karol Stewart Parnell nie śpieszył do życia publicznego, przygotowując się do niego przez poważne studya i długie podróże. W roku 1871, po śmierci ojca osiadł w swych dobrach i przez czas jakiś prowadził życie zwyczajnego *squire'a* (obywatela ziemskiego): polował, strzelał do celu i t. d. Wówczas już jednak odznaczał się względnie i sprawiedliwym postępowaniem z fermerami. Zajmował się też powiększeniem swej fortuny, założył fabrykę szczotek, tartak i robił poszukiwania geologiczne.

W roku 1874 przykład Blenerhasseta, który, jakkolwiek również protestant i właściciel ziemski, potrafił jednak pozyskać głosy narodowców w katolickim hrabstwie Kerry, wskazał mu drogę. Zjawił się on do komitetu stronnictwa, świeżo zorganizowanego przez Butta i zaproponował swoją kandydaturę. Usługi jego zostały przyjęte, współzawodnictwo jednak z kandydatem rządowym w hrabstwie dublińskim okazało się niemożliwym i dopiero w następnym roku wyszedł on z urny wyborczej w hrabstwie Meath, jako następca zmarłego weterana z roku 1848, Johna Martina.

Parnell wstąpił do parlamentu wkrótce po zorganizowaniu przez Butta—człowieka wielkiego talentu i prawdziwej zasługi, niestety jednak zarazem człowieka z wielkimi wadami charakteru i ze słabą wolą—nowego stronnictwa parlamentarnego, które w hasło *Home-Rule* (Samozarząd)

sformułowało tak często zawodzone, nigdy jednak nieporzucane aspiracje narodowe Irlandyi. W młodości swej Butt należał do stronnictwa torysowskiego i występował przeciw projektom oddzielenia Irlandyi, podnoszonym przez O'Connella. Reformy, dokonane przez Gladstone'a, natchnęły nadzieję zwolenników działania konstytucyjnego i parlamentarnego. Z tej chwili skorzystał Butt i wystąpił jako *leader* (wódz) nowego stronnictwa. Niełatwem było jego nowe stanowisko. Miał on osobiście dość zmysłu politycznego, żeby zapomnieć o swym długim pobycie w szeregach torysów. Najczęściej też umiał powściągnąć swoje instynkty i nawyknienia, które, pomimo zmiany poglądów na kwestyję irlandzką, były w nim zakorzenione i skłaniały go do popierania w kwestyjach czysto angielskich dawnych towarzyszków broni. Gorzej było z jego stronnictwem. Zaskoczony niespodziewanym rozwiązaniem parlamentu w r. 1874 i posiadając bardzo nieznaczne środki, Butt nie mógł robić ścisłego wyboru pomiędzy kandydatami. To też obok takich szczerych patryjotów, jak A. Sullivan, Ryszard Power, Biggar, albo Sheil, przyjął on takich, których wierność była bardzo podejrzaną. Tacy whigowie, jak Patryk O'Brien i tacy torysi, jak Jerzy Bowyer lub pułkownik King Harman wymawiali od niechcenia wyraz *Home Rule* i to otwierało im podwoje izby gmin. Znalazszy się w tej ziemi obiecanej, zapominali oni o zobowiązaniach wyborczych i ciążyli ku tym strefom, do których pociągały ich istotne sympatyje, i gdzie ich oczekiwano nagrody ministeryjum lub pochlebstwa opozycji. Wówczas nawet, gdy poczucie honoru nie pozwalało im porzucić szeregów irlandzkich, cóż obchodziło torysów np. teoretyczne głosowanie półkownika King-Harmana za wznawianiem corocznie żądaniem *Home-Rule*, gdy byli pewni jego poparcia we wszystkich ważnych kwestyjach publicznych.

Butt doskonale rozumiał skutki, jakie wynikną mogą z takiej anarchii. Obawiał się on, że współobywatele jego zniechęcą się do walki konstytucyjnej i zwrócą znowu do usiłowań rewolucyjnych. Niestety jednak, *leader* irlandzki nie mógł zaradzić złemu. Nie tylko właściwości jego charakteru nie pozwalały mu na to, przyczyniały się do tego ogrom długów i ciągle rozjazdy, jakie odbywał w charakterze adwokata. To też jakkolwiek Butt był człowiekiem bardzo wybitnym, nie mógł on wskazać narodowi na żaden tryumf. Czternaście billów, dążących do ulepszenia *Land Actu* z r. 1870, pogrzebanych przez niechęć jednych i obojętność drugich—oto był jedyny rezultat jego działalności. W Irlandyi dostrzegać się dawały oznaki nowego wzburzenia umysłów i zjawily się znowu zapowiedzi grożącej klęski głodojowej.

Parnell doskonale zrozumiał sytuację i bezzwłocznie niemal obmyślił plan działania, który sciągnął wprawdzie na niego naprzd szyderstwo, a później oburzenie opinii publicznej w Anglii i wywołał istny przewrót parlamentarny, ostatecznie jednak doprowadził do ogromnych rezultatów.

Zasadniczą jego myślą było, że stronnictwo irlandzkie winno być nie tylko stronnictwem autonomistycznym (dążącym do niezależności Irlandyi), ale i autonomicznym (niezależnym)! W jego oczach było to stronnictwo całkowite samo w sobie, nie zaś poddział jakiegoś stronnictwa angielskiego, chociażby nawet liberalnego, jakkolwiek temu ostatniemu zawdzięczała Irlandya wszystkie reformy, dokonane w ciągu bieżącego wieku. Ztąd wynikała konieczność działania izolowanego i zewnętrznego nawet zaznaczania zupełnej swej niezależności. Tak np. Parnell nakłonił swych kolegów, żeby nie zmieniali miejsca w parlamencie wraz ze stronnictwami angielskimi, lecz pozostawali zawsze na tem samym miejscu, na lewicy.²⁾

Sprawa narodowa cierpiała dotychczas z rozdwojenia, a raczej antagonizmu między konstytucyjnymi przedstawicielami a rewolucyjnymi działaczami w Irlandyi. Pozbawieni pomocy najgorętszych i najszczerzych żywiołów patryjo-

tycznych, członkowie parlamentu miotali się w próżni i schodzili wkrótce na komparsów wielkiej komedyi politycznej, rozgrywanej na scenie Westminsteru. Agitatorowie ludowi wikłali się tymczasem w labirynt bez wyjścia spisków i zamachów. Siły, które w połączeniu mogłyby stać groźnemi dla wspólnego wroga, wyczerpywały się w bratobójczej walce. Parnell rozumiał, że warunkiem *sine qua non* działania parlamentarnego była ścisła łączność z frakcją rewolucyjną. Trzeba było wskazywać na tylnym planie ucieczkę do *ultima ratio* narodów, trzeba było wskazywać na możliwe wystąpienie sił rewolucyjnych, jako na sankcyję argumentów konstytucyjnych.

Śmiały ten pomysł wymagał radykalnej zmiany wzajemnego stosunku dwóch frakcyj. Stronnictwo parlamentarne powinno było rozszerzyć swój program, zmienić metody, zrzec się pobłażliwości i kompromisów, pozbyć się zawodnych nadziei na związek z jakim bądź stronnictwem angielskiem. Powinno ono być podnieść głos i wyprostować głowę, stać się wiernym przedstawicielem wszystkich dążeń Irlandyi. Z drugiej strony agitatorowie ludowi powinni byli udzielić swym nowym sojusznikom niezbędnego kredytu, zawiesić swe usiłowania i zniknąć na czas jakiś w pomroce.

Urzeczywistnienie tego celu pozwalało użytkować dla sprawy narodowej nowe siły. Zastępy irlandzkie w Ameryce nie mogły masowo brać udziału w usiłowaniach rewolucyjnych, jak również nie mogły współzuc dotychczasowej działalności stronnictwa parlamentarnego. Z chwiałą jednak, gdy to ostatnie uznawało stronnictwo współzawodniczące za rezerwę własnej armii, zyskiwało ono stałe poparcie współobywateli z da oceanu, dając naturalne i uprawnione zajęcie dotąd bezpłodnym sympatjom amerykańskiej Irlandyi. Toż samo mniej więcej rzecz można o zastępach irlandczyków, osiadłych w Anglii, którzy zachowali poczucie swej odrębności i dążenia separatystyczne.

Nie dość tego, Parnell zarówno z własnego doświadczenia, jak i też ze studjów nad historją swego kraju, przyszedł do przekonania, że dla chłopu irlandzkiego, a zatem dla większości narodu najważniejszą kwestyją jest kwestyja agrarna. Zapewne, nie samym chlebem żyje człowiek, lecz trudno mu dążyć wytrwale i stale do jakiegoś idealnego celu, gdy dzieci jego nie mają chleba. Bardzo często ruchy nacyjonalistyczne spełzały na niczem wobec obojętności ludzi, zajętych pilniejszym zagadnieniem życia lub śmierci. Z drugiej strony usiłowania polepszenia organizacji własności ziemskiej spotykały się kilkakrotnie z pogardliwą obojętnością patryjotów, zbyt wyłącznie oddanych kultowi wielkich zasad, żeby raczyli zejść na grunt interesów materyjalnych. Raz tylko wzięto się na seryjo do niezbędnych reform: było to na skutek ruchu, którego rewolucyjny uniwersalizm obejmował zarówno kwestyję agrarną, jak i narodową. Ruch feniański i *Land act* z r. 1870—były lekcją, doskonale zrozumianą przez Parnella. Postanowił on nierozzerwalnymi węzłami połączyć dwie sprawy, tak żeby tryumf jednej z nich nie opóźniał, lecz przeciwnie—przyspieszał tryumf drugiej.

Co się tyczy sposobu działania, to deputowany z Meath postanowił, że kwestyja irlandzka musi stać ciągle na drodze polityki angielskiej. Jeżeli Anglija odmawiała wciąż Irlandyi prawa do samorządu, to wzamian Irlandya powinna była przeszkadzać Anglii w rządzeniu się. Zdaniem jego, nie dość było raz lub dwa na rok podnosić teoretyczne protesty i wywoływać grzeszną szermierkę językową. Żądania Irlandyi powinny być stawiane zawsze i wszędzie, powinny się wplątać do każdej kwestyi i tamować bieg rozpraw, dopóki fatalne więzy nie będą rozcięte. Ci, którzy zasady bezprawnej i tyranicznej unii stawiali wyżej nad niezniszczalne żądania narodu, powinni byli zebrać gorzkie owoce tego przymusowego związku. Trzeba ich doprowadzić do tego, żeby we własnym interesie zapragnęli rozvodu, którego nie chcieli udzielić na żądanie drugiej strony.

Ówczesny regulamin izby gmin, dbały o wolność rozpraw i nie posiadający żadnej prawie broni w postaci kar dyscyplinarnych, nie pozwalający np. na oddawanie pod głosowanie kwestyj spornych po 12 1/2 na zwykłych posie-

się. Cieżyński tymczasem chodził niespokojnym krokiem po saloniku, przeglądał z całą nerwową bezmyślnością fotografie w albumach, odczytywał napisy pod sztychami, dotykał rękami porcelanowych figurek na stole, przerzucał książki w etażerce.

Kiedy Zofija, ubrana już w suknię, ale jeszcze bez okrycia i bez kapelusza, ukazała się na progu salonika, zwrócił się do niej wprost:

— Ach! pani zapomniałem...

— Co takiego?

— Zapomniałem prosić panią o zwrot kwitu na zastaw biżuterji...

— Przecież pan je wykupił...

— Tak, ale kwit muszę złożyć do archiwum...

— I owszem... Zaraz go oddam...—odpowiedziała przechodząc do biurka, w którego szufladzie się znajdował.

— Bo to, widzi pani, u mnie, *c-te*, porządek przedewszystkiem....

(dokończenie nastąpi).

Antoni Sygietyński.

²⁾ W parlamencie angielskim panuje zwyczaj, że stronnictwo, znajdujące się w danej chwili u władzy, zasiada zawsze po prawicy *speakersa*.

dzeniach wieczornych i po 5³/₄ godzinie na posiedzeniach dziennych, wybornie nadawał się do planów Parnella, które urzeczywistniły się niebawem w rozgłośnym odtąd obstrukcyjonizmie (przeciąganiu rozpraw).

Wyznać należy, że taktykę tę zainaugurował już przedtem Józef Biggar siłą tylko swej niechęci do jarzma angielskiego. Ten deputowany z Cavan pochodził z rodziny prezbyteryjańskiej, prawdopodobnie szkockiej i łączył energię *Ulstermana* z namiętnym patryjotyzmem irlandczyka. Zajęty handlem wieprzami i słoniną, pozostał on zupełnie obcym wysubtelizowanej kulturze, to też, wszedłszy do parlamentu, z niecierpliwością znosił delikatność, z jaką traktował wrogów leader irlandzki, Izaak Butt. Właściwie jednak ten ostatni wskazał mu drogę w d. 22 kwietnia 1875. Butt prosił Biggara o przedłużenie rozpraw dla odroczenia głosowania w pewnej kwestyi. Biggar wywiązał się z polecenia doskonale. Pomimo oznak zniecierpliwienia izby mówił on w ciągu pięciu godzin, aż wreszcie sala posiedzeń opóźniła się niemal zupełnie. Był to, zdaje się, pierwszy przykład obstrukcyjonizmu.

Zupełne oddanie się sprawie narodowej, absolutna obojętność dla sądów innych i pogarda dla konwenansów parlamentarnych pchały go dalej po raz wypróbowanej drodze. W pięć dni po owej mowie skorzystał on w niesłychany i skandaliczny sposób z przepisu, który oddawna wyszedł z użycia. Obecność osób postronnych na galerii izby gmin podczas obrad tolerowana była tylko dzięki fikcyi, że *speaker* (prezes izby) nie wie o tem. Dość było, żeby deputowany zwrócił uwagę na obecność słuchaczy i ci ostatni musieli być wyproszeni z sali. Biggar znalazł złośliwą przyjemność zwrócenia uwagi na znajdowanie się w sali postronnych właśnie w dniu, gdy książę Walii zaszczylił „wierne gminy” swoją królewską obecnością... Przepis był wyraźny, *speaker* nie mógł go nie zastosować i następca tronu, wraz ze zwykłymi smiertelnikami, opuścić musiał galerję. Skandal był okropny, oburzenie bez granic. „Niegodne” postępowanie Biggara napiętnował w imieniu stronnictwa rządowego Disraeli, w imieniu opozycji lord Hartington, przyłączyli się do nich w imieniu irlandczyków Jerzy Bowyer i Maurycy Brooks. Członkowie stronnictwa irlandzkiego gorąco zaprzeczali wszelkiej solidarności z Biggarem. Jeden z nich, Jerzy Bryan, oświadczył, że, zdaniem jego: „należało być naprzód *getlemané'm*, a dopiero później patryjotą.”

Za mowami deputowanych posypały się urągania prasy, Biggar jednak zupełnie był nieczuły na takie rzeczy, dla niego był to tylko dowód, że cios został wymierzony dobrze, że należało iść dalej tą samą drogą. W każdym razie potrzebował on mieć współników, tymczasem członkowie stronnictwa Butta manifestacyjnie odłączali się od deputowanego z Cavan. Maccarthy Downing posunął się nawet do podziękowania sekretarzowi dla spraw irlandzkich, Hicks-Beachowi za grzeszność, z jaką traktował *homerulerów* podczas rozpraw nad prawem o bezpieczeństwie publicznem w Irlandyi. Innym razem doktor O'Leary zaproponował odroczenie obrad nad pewnym billem represyjnym. Jego koledzy irlandzcy oburzyli się na tak nieracjonalne żądanie i przestraszony doktor musiał cofnąć swój wniosek i przez to przyczynić się do przyspieszenia uchwały prawa, ograniczającego wolność jego ojczyzny. Sam Butt nieustannie potępiał publicznie i prywatnie postępowanie Biggara. Siły były nierówne. Z jednej strony uznany wódz stronnictwa, zdolny mówca i taktik, otoczony powszechnem uznaniem, z drugiej odosobniony szeregowiec niepopularnej sprawy, bez talentu i wykształcenia, obrzucony powszechnem potępieniem. Biggar jednak nie długo pozostał sam, zjawił się Parnell i niebawem po swem wystąpieniu na arenę publiczną poparł energicznie osamotnionego deputowanego z Cavan.

(D. c. n.).
J. Książyc.

Pochodzenie szlachty.

II.

Odnajdując w tematach herbów polskiej szlachty runy skandynawskie tak starszego jak i młodszego fulhorku (tak się nazywa alfabet runiczny), autor wykazuje, że runy te mogły być przyniesione do Polski, jako znaki wojskowe na drzewcach chorągiewnych, nie wcześniej, jak na schyłku VIII i nie później jak na początku IX stulecia. Koniec bowiem VIII wieku jest granicą, po za którą nie przechodzi używanie run starszego fulhorku i jedyną epoką, w której łącznie się run obydwóch fulhorków ze sobą jest możliwym. W tym to więc czasie przybyło, według zdania autora, kilka nadłobskich plemion lechickich, w okolice między Odrą i Wartą i dało początek państwu polskiemu. Dowódcy tych plemion, żyjąc w sąsiedztwie z Normanami duńskimi, przejęli od nich rycerskie znaki runiczne, przybyli z nimi do Polski i zatrzymali je przez wieki. Znaki te, zanim zostały herbami rycerstwa polskiego, uległy w ciągu wieków kilku przeobrażeniom. Pierwszą fazę tych przeobrażeń kładzie autor na czas przyjęcia chrześcijaństwa. Apostołowie chrześcijaństwa, nie mogąc wyrugować pogańskich znaków, postanowili załatwić sprawę ku zobopólnemu zadowoleniu, przyodzabiając je krzyżami. Ztąd taka mnogość krzyżów wszelkiej formy i wielkości w herbach, pochodzących z tematów runicznych. Tę fazę nazywa autor uświęceniem run. Druga faza przypada na wiek XIII, kiedy, zamiast drzewców z przymocowanymi u góry znakami drewnianymi lub żelaznymi, zaczęto używać chorągwi ze znakami malowanymi. W tej epoce nikt już w Polsce nie znał run i nie wiedział, że znaki, przytwierdzone do drzewców chorągiewnych, posiadają postać runiczną. Ponieważ więc każda z używanych w Polsce run składała się z laski, ozdobionej różnego kształtu kreskami, bądź prostemi, bądź łukowatemi, a nie wiadano już, że te laski stanowią część integralną runy, przyjmowano je za proste trzpieńce, służące dla osadzania na nich owych kresek, i odrzucano je teraz przy przenoszeniu znaków na chorągwie. W ten sposób w tym wieku zaginęła pierwotna postać dawnych znaków runicznych i pozostały na chorągwiach tylko niektóre ich składowe części.

Trzecią i najdonioślejszą fazę przeobrażenia przeszły znaki runiczne w tej epoce, kiedy do Polski zawitały herby, wytworzone na prawidłach heraldyki zachodnio-uropejskiej, a z nimi i same prawidła heraldyczne. Mało skorzystała heraldyka polska z zachodnio-uropejskiej, bo w epoce wojen krzyżowych, kiedy w zachodniej Europie herby dopiero się zaczęły ukazywać, w Polsce istniał już oddawna wyrobiony i rozwinięty system znaków herbowych.

Ale znaki te były tylko znakami, nie zrozumieliśmy dla ówczesnego pokolenia i nie posiadającymi żadnej znanej ogółowi formy, nie przypominającymi żadnych znanych przedmiotów, gdy, przeciwnie, herby zachodnio-uropejskie składały się z figur i postaci ogólnie znanych przedmiotów. A że wraz z prawami rycerskimi i heraldycznymi zawitali do Polski i heroldowie, których obowiązkiem było znać herby rycerstwa i umieć je wywoływać i opisywać na turniejach, czyli, jak to nazywano, wyblazonowywać, zaczęto przez naśladownictwo i dla ułatwienia zadania heroldom nadawać niezrozumiałym znakom postać znanych przedmiotów. Tak runa *tyr*, podobna z kształtem do strzały, przybrała z czasem jej postać i nazwę; z runy *madr*, od której, po odłamaniu prostej laski, pozostała tylko poprzeczna kreska łukowata, powstały te podkowy, półksiężycy, pierścienie, rogi zubrce i myśliwskie, kotwice i nareszcie słońca, które widzimy na tyłu późniejszych herbach, posiadających jeden wspólny wszystkim temat — kreskę łukowatą, w poprzek pola przeciągniętą. Tak z uświęconej (t. j. ozdobionej krzyżem) runy *madr* powstały takie herby, jak Jastrzębiec (podkowa z krzyżem), Szeliga (półksiężyc z krzyżem). Nowina (ucho kotłowe z krzyżem), Leliwa (półksiężyc z gwiazdą) i t. d. Tę fazę nazywa autor uherbieniem znaków runicznych i odnosi ją do drugiej połowy XIII wieku, powołując się na tę okoliczność, że najdawniejsze znaki chorągiewne, jakie posiadamy z XII wie-

ku i pierwszej połowy XIII, jak znak palatyna Sieciecha i inne, nie wykazują jeszcze żadnej dążności do uherbienia. Niektóre właściwości polskich znaków runicznych, jako to używanie run wiązanych i stałe łączenie ich z runą *tyr*, nie przeczą wcale hipotezie skandynawskiej tych znaków pochodzenia. Runy wiązane spotykamy już na prastarych kamieniach z VI wieku, a runa *tyr* oznaczała u skandynawów boga wojny, obecność więc tej runy w figurze herbowej jest dowodem, że znak został ozdobionym symbolem boga wojny. Autor przypuszcza, że pierwotnie każda runa musiała być połączoną z runą *tyr*, aby móżdż został znakiem wojskowym. Brak runy *tyr* w tylu znakach wojskowych tłómaczy się w ten sposób, że pierwotny znak, t. j. pewna runa w połączeniu z runą *tyr*, służył tylko seniorowi rodu i jego potomkom w starszej linii. Młodzi bracia seniora, dostając od księcia samodzielne — dowództwa nad oddziałami wojów, i wylamując się przez to z pod komendy seniora, musieli tworzyć sobie nowe znaki, co uskuteczniłi przez zatrzymanie głównej runy, jako dowodu wspólności rodu z seniorem, wraz z odrzuceniem runy *tyr*, dla oznaczenia linii młodszej. Działo się to prawdopodobnie w tej epoce, kiedy właściwe znaczenie runy *tyr* przez nikogo już nie było rozumiane, kiedy więc można było odrzucić ten symbol wojny, nie pozbawiając samego znaku jego charakteru znaku wojskowego. Nowy znak, utworzony w ten sposób, podlegał dalszym przeobrażeniom, w miarę jak w młodszych liniach odbywały się usamowolnienia młodszych braci z pod komendy starszego.

Pamiętając na wspólność rodu, zatrzymywano główny temat runiczny, ale tworzone sobie przez dodatki lub nadwyrężenia nowe znaki. Z drugiej strony — od starszej linii z biegiem czasu oddzielały się nowe młodsze, które, przez pamięć pochodzenia w prostej linii od seniora, zatrzymywały pierwotny znak jego, runę związaną z runą *tyr*, ale wprowadzały, na znak usamowolnienia, zmiany również za pomocą dodatków lub nadwyrężeń.

W ten sposób powstała w ciągu kilku pokoleń ta wielka różnorodność, którą spotykamy w późniejszych herbach, i która ułatwiła przekształcanie się znaków runicznych w figury, kiedy pod wpływem wyobrażeń heraldycznych, przyniesionych z zachodniej Europy, zaczęto uczuwać popęd do tworzenia prawdziwych herbów o znakach, wyobrażających ogólnie znane przedmioty.

Wyłożywszy swoją teorię pochodzenia herbów polskich od run, autor stawia sam sobie pytanie, czy nie ma jeszcze jakiego źródła, z którego polskie znaki chorągiewne dałby się wyprowadzić. Świat germański zna oprócz run inne jeszcze znaki, które pojawiają bardzo licznie na całej przestrzeni germańskiej Europy. Są to tak zwane ciosna, czyli karby dworskie i domowe (Haus und Hofmarken), które służyły jako znak ręki, zamiast podpisu, i były używane do stemplowania przedmiotów dla oznaczenia własności. Autor nie wątpi, że te ciosna są pochodzenia runicznego i że przeszły one mniej więcej przez taką drogę przeobrażeń, jaką wyżej nakreślił dla znaków wojskowych polskich. Przypuszczaniu jednak pochodzenia polskich znaków od ciosen niemieckich stają według autora dwa względy na przeszkodzie, 1) że kiedy u Germanów ciosna występują tylko u dwóch niższych klas społecznych, u mieszczan i włościan, w Polsce znaki runiczne pojawiają się tylko u najwyższej klasy i to w epoce, kiedy szlachta stanowiła jeszcze (według teorii autora) klasę magnatów dynastów; 2) że ciosna niemieckie mają charakter wyłącznie prywatno-prawny, gdy polskie znaki są używane wyłącznie jako znaki wojenne. Załatwiwszy się z runicznym charakterem herbów polskich, przechodzi autor do bardziej szczegółowego traktowania kwestyi formowania się prawdziwych herbów i ich odmian. Gdy dawna heraldyka wyprowadzała herby z czasów najdawniejszych, sięgając aż malowideł na tarczach greckich bohaterów, nowsi historycy wykazali dowodnie, że herby, jako dziedziczne godła odszczególnienia rodowego, zjawiają się w Europie dopiero w epoce wojen krzyżowych, na schyłku XI wieku. Jest jednak ziarno prawdy i w twierdzeniach dawniejszych heraldyków. Tematów do herbów dostarczał wprawdzie Wschód

sam on jednak w późniejszych czasach pełną dłoń czerpał grecką kulturę. Na starożytnych monetach spotykamy godła, które by się wybornie przydały na tematy do herbów, że wspomniemy tylko o sowie attyckiej, pszczołce koryńskiej, tarczy beockiej etc.

Miał i Wschód swoje godła: półksiężyc z gwiazdą ukazuje się już na monetach Mitradata, gryfy zdobia dotychczas ruiny pałaców assyryjskich. Wyobrażenia różnych zwierząt, lwów, jeleni, orłów dostawały się na tkaniny wschodnie a z tamąd na chorągwie krzyżowców, z którymi przybywały do Europy, formując pierwszy zastęp herbów zachodniej Europy. Heraldyka zachodnia rozróżnia dwa działy herbów: herby we właściwym tego słowa znaczeniu i figury heraldyczne. Herby właściwe przedstawiają przedmioty, wzięte z natury żywej lub ze świata fantastycznego; figury zaś heraldyczne polegają na tem, że pole tarczy w różny sposób bywa podzielone i różnemi barwami nałożone. Figury te powstały z różnobarwnych materyj wschodnich, zszywanych kawałkami i używanych w tej postaci na chorągwie.

W polskiej heraldyce brak jest figur heraldycznych prawie zupełnie; kilkanaście istniejących są notorycznie obcego pochodzenia. Co do herbów właściwych, to zjawiają się one w Polsce dopiero na początku XIII wieku (orzeł jednogłowy na najpóźniejszej pieczęci Leszka Białego i inne), i są one stosunkowo bardzo nieliczne. Najliczniejszy zastęp herbów polskich przedstawia typy runiczne, których znowu zachodnia heraldyka nie zna wcale.

Formowanie odmian drogą wyżej wspomnianą ustaje z nadaniem rycerstwu ziemi przez Bolesława Krzywoustego, gdyż coraz to trudniej, w miarę dzielenia się dóbr nadanych, o własną chorągiew, dla której właśnie ubiegano się o odmianę. Zupełne skonsolidowanie się herbów następuje w wieku XIV. Nowy sposób tworzenia odmian o innym niż poprzednie znaczeniu ukazuje się jednocześnie z wprowadzeniem do Polski prawideł zachodniej heraldyki. Jest to tak zwane udostojnienie i uposiedzenie herbów. Za pewne zasługi panujący dodaje do herbu nowy znak jaki, który czyni tak herb, jak i ród, pieczętujący się nim, dostojniejszym. Za czyny zaś hańbiące ród lub dla oznaczenia pochodzenia z nieprawego łoża, nadwyrażano dawny herb, lub robiono ujmę przynosząc dodatek — uposiedzano go w porównaniu z poprzednim jego stanem. Najdawniejszym przykładem udostojnienia jest według autora dodanie przez króla Ludwika do herbu Korczak (wyżeł w korczyku) trzech wrębów białych w polu czerwonym (herb królestwa węgierskiego), później Kazimierz Jagiellończyk dodaje do herbu Prus (półtora krzyża w tarczy) ramię rycerza z mieczem z pogoń litewskiej. Najdawniejsze przykłady uposiedzenia herbów widzimy na herbach Hamadejowa i Orla, z których pierwszy wyobraża orła piastowskiego bez ogona, drugi tegoż orła bez głowy, z gwiazdą na jej miejscu.

W obydwóch razach przyczyną uposiedzenia jest nadanie przez panującego własnego herbu osobom niskiej kondycji przy uszlachceniu. Herb Dembno jest również uposiedzonym Habdankiem dla oznaczenia pochodzenia tej gałęzi Habdanków z nieprawego łoża.

Ważne światło rzuca, według autora, na kwestję pochodzenia szlachty polskiej sposób, w jaki odbywały się w późniejszych czasach nobilitacje i nadawanie indygenatów. Ponieważ celem uszlachcenia było postawienie zasłużonej osoby na zupełnie równej stopie z klasą panującą w kraju, więc środki, za pomocą których ten cel osiągnąć, powinny być stanowić analogię do sposobu, w jaki powstała cała klasa szlachecka. Autor zdaje się zapominać w tym wypadku, że w najlepszym razie tą drogą można dojść tylko do wniosku o tem, jak sama szlachta w późniejszych czasach swój początek wyobrażała, gdyż to nie ulega żadnej wątpliwości, że na początku przynajmniej zastosowywano do uszlachcenia taką mniej więcej procedurę, jakiej, według swego przekonania, własne odrębne i wysokie stanowisko zawdzięczano, ale z tego nie wynika jeszcze, żeby się rzeczy konieczne musiały tak odbywać w wiekach IX, X, XI, w epoce tworzenia się szlachty, jak to sobie też szlachta w XV i XVI wieku wyobrażała.

W każdym razie, jakkolwiek niepodobna przypuścić w tym wypadku ciągłości tradycji u szlachty polskiej, jest to już samo przez się rzeczą niezmiernie ciekawą i dla rozświetlenia głównej kwestyi pomocną — sprawdzić za pomocą badania nobilitacyjnych manipulacji, co uważała szlachta polska z wieku XV i XVI za niezbędne dla podniesienia ku sobie osób, obcych szlacheckiej korporacji. Konstytucya sejmu warszawskiego z roku 1578 stanowi: „aby plebei nie byli kreowani na szlachectwo, jeno na sejmie za wiadomością panów rad, albo w wojszcze dla znacznego w męstwie swem poczynania i dzielności.” Taką konstytucyją z r. 1601 potwierdza, że ten tylko może być uszlachcony, kto będzie królowi od senatu i posłów ziemskich zalecony, a w wojsku od hetmana. A sejm koronacyjny z r. 1633 postanawia, aby żaden szlachcic ignobilem do herbu przyjmować i za nim świadczyć się nie ważył. Z samego faktu, że tego rodzaju konstytucyje były uznane za potrzebne, autor wyprowadza ten słuszny wniosek, że, przed ich wydaniem, nobilitacje i nadawanie indygenatów stanowiły przywilej władzy królewskiej, i że każdy pojedynczy szlachcic mógł uszlachcić plebejusza przez adoptacyję t. j. przyjęcie go do herbu i rodu; ten akt potrzebował jednak za twierdzenia ze strony króla. Adoptacyja była najstarszą formą uszlachcenia.

Ze znanych nam przywilejów nobilitacyjnych, 98 odnosi się do adoptacyi, a tylko 21 do indygenatów. Najdawniejszy pomnik tego rodzaju, przywilej unii horodelskiej obejmuje adoptacyje 47 rodzin litewskich przez polskie. Ale i królewskie przywileje, nadające szlachectwo bez uprzedniej adoptacyi nobilitowanych przez rody szlacheckie, nie są w gruncie rzeczy niczem innym, jak rodzajem przyjęcia nowo-kreowanej szlachty przez monarchę do własnego rodu. Autor opiera to twierdzenie na tej okoliczności, że, w razie uszlachcenia bez adoptacyi przez jaki ród szlachecki, monarcha nadaje swój własny herb tylko w postaci uposiedzonej, jakby dla zaznaczenia, że nowo-kreowany wstępuje do młodszego linii rodu monarszego. Tak pierwsi Jagiellonowie nadają w podobnych wypadkach herb tak zwaną pogoń polską, wyobrażającą rękę rycerza z podniesionym mieczem, który to herb autor uważa za uposiedzoną pogoń litewską, herb Jagiellonów. Do tegoż rodzaju aktów zalicza autor nadawanie przez Ludwika linii audegańskich i wrębów węgierskich i wspomnianych wyżej piastowskich orłów bez głowy lub ogona. Jeżeli więc król, w braku adoptacyi nobilitowanego przez jaki ród szlachecki, nie tworzy nowych herbów, tylko stale nadaje swój własny klejnot w postaci nadwyrażonej, to wobec tego, że herb jest najcharakterystyczniejszym znamięm rodu, nie można tego zjawiska wytłumaczyć inaczej, jak przyjmowaniem uszlachcanych do rodu monarszego. Zarzut nieprawdopodobności, żeby król mógł się posunąć do takiego wywyższania nieznanych przed tem rycerzy, autor odpiera licznymi przykładami przyjmowania przez znakomite rody do herbu i rodu osób najniżej w społeczeństwie położonych, nawet wychrzestowanych żydów. Jeśli więc nobilitacyja bez adoptacyi do innego istniejącego już rodu szlacheckiego jest właściwie adoptacyją do rodu monarszego, to wynika ztąd, że jedyną prastarą formą uszlachcenia, sięgającą czasów przedherbowych, była adoptacyja, t. j. przyjęcie obcego człowieka przez który z rodów szlacheckich lub przez ród książęcy — do swego rodu i do swego znaku chorągiewnego. Wobec tego widzimy, że najstarsze nobilitacje nie były właściwymi nobilitacyjami t. j. podniesieniem plebejuszów do rządu rycerstwa znakowego, lecz były raczej indygenatami, t. j. przyjęciem obcych rycerzy, garnących się na dwory piastowiczów, do istniejących już rodów szlacheckich polskich i do ich znaków chorągiewnych. Szlachta była hetmańskiego pochodzenia i miała przyrodzone prawo hetmanienia wojom pod swoimi znakami chorągiewnymi. Obcy musiał dla uzyskania tego prawa rodowego być przyjętym do rodu.

T. S.

Fryderyk Diesterweg

w stuletnią rocznicę urodzin.

Wśród szczęku bagnetów, chrzęstu stali i huku młotów, wykuwających pancerniki i działa wielkiego kalibru, w piersiach niemieckich, zapiętych na wszystkie guziki militaryzmu, od czasu do czasu serce zadrga uczuciem żywszem, wzniolejsem i znajdzie oddźwięk w życiu. Trzeba przyznać, że Niemcy potrafią szanować swych ludzi wielkich i cześć ich pamięć. Oto w tych dniach szkolnictwo niemieckie rozbrzmiewało czią i uwielbieniem dla człowieka, który sto lat temu urodził się, by życie swoje całkowicie oddać narodowi w ofierze i złożyć je na jednym z najpiękniejszych ołtarzy społecznej pracy.

Człowiek ten — to Fryderyk Diesterweg, a jego zasługą — szkoła i głównie szkoła ludowa.

Przed stu laty przyszedł on na świat w Westfalii, uczył się matematyki, historii i filozofii, a po skończeniu dwóch uniwersytetów (w Heilbronn i Tybindze) został z początku nauczycielem matematyki i fizyki gimnazjum w Wornusie, później w Frankfurcie nad Menem, potem w Eberfeldzie. Ale to go nie zadawalało; postanowił poświęcić się nauczycielstwu ludowemu. Objął więc w następstwie kierownictwo seminarjów nauczycieli ludowych w Mörs, potem w Berlinie. Samodzielne jednak stanowisko Diesterwega, dążenie do uwolnienia szkoły od wpływów duchowieństwa protestanckiego, wreszcie poglądy na szkołę ludową, różne od zapatrywań ówczesnego pruskiego uniwersytetu, pozbrały go wpływowego urzędu państwowego, a działalność jego zwróciły na pole literackie. Postać ta, o ile wywoływała krzywe spojrzenia w sferach urzędowych, o tyle rosła i olbrzymiała w oczach ówczesnego społeczeństwa, o tyle pociągała ku sobie serca młodych nauczycieli i sfery myślące. To też w grudniu 1858 roku Diesterweg zostaje deputowanym do sejmu pruskiego i godność tę, wraz z zaszczytnym mianem „Praeceptor Germaniae”, zachowuje aż do samej śmierci, t. j. do dnia 7 lipca 1866 r.

Diesterweg poświęcił siły wyłącznie prawie tej części pedagogiki, która zajmuje się nauką o nauczaniu, t. j. dydaktyce. Jakkolwiek tu nie stworzył on systemu, potężnym jest jako praktyczny krzewiciel najpiękniejszych odrośli wspaniałych systematów Rousseau'a i Pestalozziego. Z nieubłaganą siłą logiki, potęgą wiedzy i nieustraszoną odwagą człowieka przekonanych walczy z jednej strony z reakcyjnymi dążnościami rządu pruskiego, a z drugiej — z wrodzoną pedanteryją i resztkami obskurantyzmu własnego narodu.

Zasady jego są proste i śmiałe.

Jako ogólny probierz w postępowaniu, wychowawczem stawia Diesterweg postulat Rousseau'a „zgodność z naturą”, co, podług niego, powinno być sprawdzianem i wskazówką, czy dany system i droga postępowania są dobre lub złe, trafne czy niewłaściwe w wychowaniu. By odszukać takie niewzruszone kryterjum, uznaje on za najważniejsze zadanie pedagogii, jako istotnej, pozytywnej nauki, zbadanie natury dziecka, natury człowieka, a następnie tych praw, jakim podlega rozwój ogólnej natury ludzkości całej. Postawienie tak poważnego zadania pedagogii świadczy o gruntownem pojmowaniu przez Diesterwega zagadnień nauki wychowania, i dzisiaj, po stu niemal latach, pozostaje ono jeszcze słabo zarysowanym zagadnieniem w pedagogice i pokrewnych jej naukach, i jest dotąd gwiazdą przewodnią, do której wciąż jeszcze dążą najprzedniejsze jej siły, ku której skierowują swoje pragnienia i badania wszystkie najpiękniejsze umysły; dotąd jest ona jeszcze mgławicą, zaledwie pozwalającą domyślać się wspaniałych światów i rozległych widnokręgów ludzkiego poznania.

W systemie nauczania, jako nieubłaganą zasadę, stawia Diesterweg niedowierzanie, a będąc umysłem samodzielnym i śmiałym, posuwa tę zasadę do ostatecznych konsekwencji, do niedowierzania nie tylko pisanemu słowu uznanych powag, nie tylko słowu rodziców, wychowawców i nauczycieli, ale żąda do zaszczepiania w wychowawcu niedowierzania samemu sobie, co pociąga obowiązek ciągłego sprawdzania, badania i krytykowania własnych zdań, przekonań i twierdzeń. Na samym sobie Diesterweg daje godny

naśladowania przykład, bo zobowiązuje czytelnika, by niedowierzał jego własnym słowom, sprawdzał je i prostował według własnego uznania. Samodzielne więc dociekanie prawdy stawia on, jako największą rozkosz życia, a skierowanie na tę drogę wychowawców—za najwznioślejszy cel i ozdobę zawodu nauczycielskiego.

Prawda we wszelkich objawach i pod każdą postacią jest tak ukochaną podwaliną życia i tak zasadniczą podstawą w metodzie wychowawczej Diesterwega, że ponad nią i poza nią nie umie on nic postawić wznioślejszego i gruntowniejszego, a życie całe swoje i pracę poświęca dla walki o nią i dla niej. Nauczyciel, czy wychowawca, jeśli chce być siewcą cnót w młodocianych sercach, musi sam czcić nieskazaną prawdę i sam być prawdziwie cnotliwym. Mniej chodzi Diesterwegowi o umysł nauczyciela, bardziej o charakter jego i cnotę, gdyż, według niego, tylko z tak czystego źródła może ona się rozchodzić na wychowawców. Sam krocząc drogą prawdy, musiał się spotkać z wrogim sobie kierunkiem ortodoksyi protestanckiej i potknął się o złą jej wolę.

Diesterweg, jako filozof, przyrodnik i matematyk całą potęgę dydaktyczną widział, naturalnie, w naukach przyrodniczych i matematyce, które więc podaje jako najznakomitszy środek kształcenia samodzielności i badawczości umysłu wychowawców.

Działalność pedagogiczna Diesterwega nie ograniczyła się na teoretycznym wskazaniu metod i sposobów nauczania. Już z powyższego krótkiego życiorysu widać, że oddawał się on i praktycznej wychowawczej pracy. I na tem polu, jako nauczyciel, wykładający dany przedmiot, był podobno nieporównany. Zawsze energiczny, świeży, sprężysty, pobudzający wszystkie władze umysłowe uczniów, wciąż trzymający je na wodzy i w napięciu, świetny dialektyk, wesoły humorysta, przytem zwolennik rygoru niemal wojskowego, a zajadły nieprzyjaciel rutyny, sposobem i metodą swoją postępowania cudów prawie dokonywał z uczniami w naukach, bez rujnującej zdrowie ich pracy, a obok tego zdołał wzbudzić w nich bałwochwalczą niemal dla siebie miłość.

Jako dyrektor seminaryjum nauczycielskiego, łączył w sobie zalety świetnego teoretyka i praktycznego organizatora. Przez podział kursów na teoretyczne i praktyczne uzyskał to, że już w drugim i trzecim roku przyszli adeptci nauczycielstwa ludowego ćwiczyli się praktycznie i bezpośrednio pod okiem zdolnych nauczycieli w szkole z odpowiednim programem, umyślnie utrzymywanej przy seminaryjum. To też program samego seminaryjum, jak również i pozostałej przy nim szkoły, rychło stał się wzorem, według którego przekształcały się i doskonaliły szkoły w całych Niemczech.

Pomimo rozległych teoretycznych zajęć i pomimo tylu obowiązków, Diesterweg nie zaniedbuje pola praktycznej działalności i staje się twórcą, protektorem i duszą wielu bardzo stowarzyszeń ludowych nauczycielskich.

Będąc jeszcze dyrektorem seminaryjum, zorganizował peryjodyczne zjazdy wychowawców swoich, stałe zgromadzenia skończonych nauczycieli, oraz dodatkowe kursy teoretyczne dla nauczycieli starszych w czasie ferij. Następnie w r. 1830 złożył w Berlinie towarzystwo pedagogiczne (Paedagogische Gesellschaft), w 1840 roku stowarzyszenie młodszych nauczycieli (Jüngerer Lehrerverein), a w 1841 towarzystwo nauczycielskie, mające na celu koleżeńskie, towarzyskie i naukowe względy.

Prócz tego, za jego staraniem i poparciem, prawie w całym państwie niemieckim powstało wiele bardzo t. zw. stowarzyszeń Pestalozziego, które miały na celu zabezpieczenie bytu materialnego samych nauczycieli, wdów i sierot po nich, dostarczanie pracy i zajęć nauczycielom, potrzebującym tego, rozpowszechnianie koniecznych książek i wydawnictwo czasopism specjalnych, oraz organizowanie zjazdów, zgromadzeń, zebrań i ciągłej łączności pomiędzy nauczycielami. Tą ciągłą pracą, staraniem i krzątaniami się około podniesienia materialnego, umysłowego i moralnego poziomu nauczycielstwa ludowego, przez popieranie słowem w sejmie, pismem w swych dziełach i wydawnictwach peryjodycznych i czynem w życiu—Diesterweg dla nauczycielstwa ludowego wywalczył i zdo-

był w społeczeństwie niemieckim zupełnie inne uznanie, inne stanowisko, a podniósłszy tak wysoko godność i zadanie szkoły wiejskiej, nadał jej daleko szlachetniejszą fizjognomię, otoczył powagą i wywyższył, a jednocześnie też umiał stworzyć dla współtowarzyszy lepsze materialne warunki bytu.

Na polu literacko-naukowym, w zakresie metodyki i dydaktyki Diesterweg przez ciąg długiego swego żywota był również płodnym i również dzielnym.

W 1827 r. wydawał dwumiesięcznik „Rheinische Blätter”, następnie w r. 1851 w Frankfurcie drugie czasopismo „Jahrbuch für Lehrer und Schulfreunde”. W pismach tych duszą całą i sercem oddany sprawie ludowego nauczania i nauczających, taranem nieubłaganej logiki i biczem sarkazmu zwalcza reakcyjne dążności ówczesnego rządu pruskiego.

Z osobnych dzieł Diesterwega wspomnieć należy o najważniejszych, „Wegweiser zur Bildung für Lehrer und die Lehrer werden wollen”: we wstępie podany tu jest zarys psychologii „empirycznej, w zakresie odpowiednim do potrzeb nauczycieli elementarnych i ludowych; nadto Diesterweg wydał cały szereg metodycznych podręczników do początkowego nauczania arytmetyki, geometrii, matematyki wogóle, popularnej astronomii i geografii astronomicznej, oraz nauki języka ojczystego. Wogóle, wszystkie jego dzieła, czy to teoretyczne, czy też dydaktyczne, których liczba sięga 60, cieszą się jednogłosem uznaniem i uwielbieniem ludzi fachowych.

Są to niewyczerpane i nierdzewiejące, pomimo tak oddalonego czasu, skarby dla nauczycielstwa wogóle, tem cenniejsze dla nauczycielstwa ludowego: są to ożywcze obfite źródła, które do dziś dnia w społeczeństwie niemieckim orzeźwiają tysiące serc gorliwych i zapalonych pracowników tej bardzo pracowitej niwy. Do dziś dnia są to klejnoty umysłowości pedagogicznej, które nie już fachowi następcy, ale widać cały naród ceni i uwielbia, jako swoje najpiękniejsze zdobycze cywilizacyjne, kiedy tym myślowym, temu światłemu rozumowi, tej pięknej, szlachetnej i wzniosłej, nieskazitelnie miłującej prawdę postaci, w stułetnicę rocznicę urodzin cały naród po wszystkich szkołach świątecznie przybranych, hołd składa, wielbi pamięć zasłużonego męża wspomnieniem niezatartych jego zasług. Uroczystości i odczyty publiczne, przemówienia, wspomnienia pośmiertne i specjalne artykuły, oraz nowe czterotomowe wydawnictwo dzieł Diesterwega we Frankfurcie nad Menem, w Berlinie fundacja stypendyjum imienia jego dla nauczycieli oraz pamiątkowa tablica, wmurowana nad drzwiami domu, w którym Diesterweg spędził ostatnie chwile swej słabości—wszystko to przemawia za tem, że zasługi Diesterwega muszą być niespożyte, o tem, że naród niemiecki umie cenić pamięć ludzi, którzy prowadzili go do dobra i światła prawdy.

Wł. P. Grabiński.

GŁOSY.

Emigracja do Brazylii. Dotychczas nie mamy żadnych pewnych danych do sążnienia o rozmiarach wychodźstwa do Brazylii. Z polecenia władzy burmistrze i wójci gmin mają przedstawić wykazy emigrantów za rok bieżący, ale wykazy te obejmą tych również, którzy emigrowali do Stanów Zjednoczonych. Dzisiaj jedni mówią, że emigracja brazylijska nie przenosi 10,000, drudzy, że dochodzi do 80,000. Przy takiej różnicy zdań, „na obserwacji opartych” trudno określić rozmiary ruchu.

Rząd brazylijski ogłasza cyfry imigracji rocznej. Według ostatnich danych od 1 stycznia do 30 września r. b. wysiadło w Rio-Janeiro ogółem 36,358 a w Santos—11,346 emigrantów. W tej liczbie do Rio-Janeiro przybyło z Rosyi 4,965 osób, do Santos—133, oprócz tego 2 osoby stanowią osobną rubrykę polaków. Dotychczas emigracja z Rosyi nawet 2,000 nie dochodziła, obecnie więc zwiększenie jest następstwem tegorocznej „gorączki.” Te 5,100 osób, które przybyły do Brazylii do 30 września na pewno w $\frac{1}{10}$ pochodzą z Królestwa. Jak wiemy ruch

emigracyjny rozwinął się dopiero w końcu września i doszedł do zenitu w październiku, sprawozdanie więc wyżej przytoczone nie obejmuje wielkiej liczby wychodźców. Dodać trzeba, że zawsze emigracja w miesiącach jesiennych i zimowych wzrasta w trójnasób.

Z Austrii przybyło 635 osób, z Niemiec—3,911, między wychodźcami zazwyczaj około $\frac{1}{4}$ stanowią polacy.

Pomiędzy rządem brazylijskim a argentyńskim wszczęły się rozterki o odbijanie sobie wychodźców. Korespondent argentyński pisma *Revue sud-americaine* donosi, że wielu emigrantów, którzy przybyli przed kilku miesiącami do Brazylii przynosi się już teraz do Argentyny. Wprost z Rosyi przybyło tu we wrześniu tylko 16 osób, z Austrii 73, z Niemiec—60, ale wogóle w tym miesiącu mało przybywa wychodźców z Europy.

— Wyzysk aptekarski.

(List do redakcyi). Często uskarżamy się na wyzysk handlujących praktykowany pod rozmaitemi postaciami, istnieje jednakże w Warszawie wyzysk chorych przez apteki, mający pozory legalne, ale dotyczący nielitościwie ludzi najwięcej zasługujących na współczucie, a bezsilnych do obrony.

Apteki nasze podlegają kontroli władzy zarządu zdrowia, dla zabezpieczenia publiczności od środków leczniczych, mogących przynieść uszczerbek zdrowiu; wszystkie środki lecznicze, mają oznaczoną urzędową takę, ponad którą niewolno panom aptekarzom brać więcej, taksa ta jednakże nie krępuje ich wcale w oznaczaniu sumiennych cen za lekarstwa i robieniu ustępstw w tych wypadkach, kiedy środek leczniczy stanął na rynku handlowym.

Nasi dobrodzieje, otoczeni szczególną opieką i protekcją naszych stróżów zdrowia, panów lekarzy, zrozumieli swoje prawo w ten sposób, że ze zniżenia cen środków leczniczych na rynku handlu wszechświata oni jedni uprawnieni są korzystać, że norma zysków brutto i netto, praktykowana we wszystkich handlach, w niczem ich sumienia nie obowiązuje; a chociaż rzadkie przedsiębiorstwo handlowe otrzymuje za swe usługi publiczności oddawna więcej nad 30% brutto, a netto 10%, aptekarzom, byle taksa po ich stronie wolno brać 300% i więcej..

Następujący fakt przekona szanownych czytelników o prawdziwie słow moich: dnia 5 grudnia b. r. zgłosiłem się do jednej z renomowanych aptek na Marszałkowskiej ulicy z receptą, opłaconą w aptecę Mikolascha we Lwowie przed dwoma miesiącami 79 centów aust. Licząc na nasze pieniądze wypadnie maximum 60 kopiejek, a że nie podobna sądzić, aby 50% zysku w aptecę nie wzięto, zatem lekarstwo kosztować mogło 40 kopiejek.

Dobroczyńca z Marszałkowskiej ulicy zaczął sobie zapłacić 1 rs. 60 k., a gdy zwróciłem jego uwagę na tak szaloną różnicę ceny, raczył mi powiedzieć, że taksa pozwala mu brać 2 rs. 20 kop. czyli 450%, a on, jako dobroczyńca ludzkości, zadowolnić się skromnym zyskiem tylko 300%. Obie recepty jako dowód w redakcyi złożyłem i z kolei zapytuję panów aptekarzy, czy sumienia ich w niczem nie obowiązuje względem publiczności tak ubogiej, jak nasza? czy dla tego prawo otoczyło handel lekarstwami opieką, uniemożliwiając wolną konkurencyję handlową, aby, publiczność zostawała na łasce i niełasce panów aptekarzy? Czy możebną jest różnica w cenie lekarstwa we Lwowie i Warszawie taka, aby wolno było brać sumienie za te same lekarstwo u nas o 166 $\frac{2}{3}$ % drożej?

Następnie zapytam szanownych stróżów i opiekunów naszego zdrowia, panów lekarzy—ale opatów, czy nie było ich obowiązkiem od dawna przedstawić zarządowi lekarskiemu, że stara taksa nie ma już racyi bytu, że uniemożliwia ona leczenie się ludziom pracy, którym godność osobista nie pozwala wyciągać ręki po jałmużnę i stawia całe społeczeństwo w zależności od wyzyskiwaczy, dla których rubel zastąpił sumienie.

Jeżeli każdy handel może zadowolnić się około 30% procentami zysku brutto, stosując się do cen panujących na rynku, dla czego apteki, a miejskie w szczególności, posiadając zapewniony odbyt, otoczone opieką władzy i wol-

ne od nadmiernego współzawodnictwa, nie mogłyby zadowolnić się 50% brutto, ze względu na potrzebę stosowania się do przepisów zarządu zdrowia? Czyż lekarze nasi chcieliby upewnić publiczność w jej przekonaniu, że się dzielą zyskiem z aptekarzami, są osobście zainteresowani w utrzymaniu wyższego aptekarskiego? Pozory po temu są niezaprzeczone. Idzie tu o los ogromnej masy ludzi pracy, obarczonych rodzinami, nie umiejących żebrać, a nie mających środka obronienia się od nieludzkiego wyzysku aptekarzy.

Dotąd panowie aptekarze, sami otoczeni opieką, starali się tylko o utrudnienie hurtownym handlarzom zaopatrywania publiczności w lekarstwa tańszym kosztem, ale nigdy jeszcze nie pomyśleli o zabezpieczeniu publiczności od ich własnego wyzysku, taksa lekarska, sprawdzona przez publiczność być nie może, przestrzeganie jej ściśle nie leży nawet w interesie lekarzy. W krajach, gdzie aptekarstwo ulega wolnej konkurencji, współzawodnictwo ustanawia normę cen a kontrola rządu i odpowiedzialność sądowna bronią od złych lekarstw.

Reforma taksy aptekarskiej dla społeczeństwa, wobec niesumienności naszych panów aptekarzy, uważających siebie za uprawnionych do pobierania 300% i więcej zysku — jest kwestyją poważniejszą; nim zaś ta reforma nastąpi, jedyną radą na razie byłoby założenie w Warszawie apteki dla szerszej publiczności, z opłatą za wydawane lekarstwa w wyższym koszcie i wydatków administracji 5% do 6%. Jest to kwestya, którą nasi wspaniałomyślni filantropi, pragnący szczerze i skutecznie nieść pomoc cierpiącej ludzkości, powinni wziąć do serca: byle administracja była dobrą, kapitał włożony kilka razy do roku da zysk bez ryzyka, cena lekarstw zredukują się dla wszystkich nie tylko w Warszawie ale w całym kraju, zdrowotność ogółu, a następnie siła produkcyjna jego polepszy się niezawodnie, panowie aptekarze zaś wówczas zrozumieją, że są sługami cierpiącej publiczności, która umie, gdy zechce, swoich praw rozumnie bronić.

Franciszek Gozdawa Humnicki.

* * *

— **Zbyteczna czułość.** *Wybór pism* Syrokomli, w 5-ciu tomach, wyszedł obecnie z druku. Wydaniem tego zbioru na rzecz „wdowy i sierot autora”, zajmował się p. A. Pług i kilku innych przyjaciół nieboszczyka. Nie mamy nie przeciw uczynności przyjacielskiej p. Pługa, ani przeciw temu, że spadkobiercy Kondratowicza, wiedząc, że wkrótce kończy się prawo własności literackiej, skorzystali ze swego przywileju. *Wybór pism* kosztuje względnie tanio i czytający ogół chętnie zapewne dzieła znakomitego poety rozkupi.

Jest wszakże w tem przedsięwzięciu jeden szczegół, który nie mile razi. Już sam dodatek „na rzecz wdowy i sierot autora” nadaje wydawnictwu jakiś dobroczynny, a w danym wypadku niewłaściwy charakter. Nie wiemy, czy wdowa Syrokomli posiada dostateczne środki do życia, ale to wiemy, że „sieroty” jego są już ludźmi dojrzałymi, którzy powinni sami pracować na swoje i matki utrzymanie. Społeczeństwo w swoim czasie przyszło im z pomocą, z rozprzedaży bowiem całkowitego wydania dzieł Syrokomli zebrany został dostateczny fundusz na utrzymanie i kształcenie jego dzieci. Zresztą pozostały dzieła ojca, które można było wydać powtórnie i pozyskać pewną sumę bez odwoływania się do sympatyj czytelników „dla sierot i wdowy”. Synowie Kondratowicza, o ile wiemy, zajmują niezgorsze posady, zresztą, jeżeli nie mają lepszych, to społeczeństwo za to odpowiadać nie może, bo środki do kształcenia dało im w dostatecznej ilości.

Jeśli wdowa poety istotnie znajduje się w niedostatku, to należało przyjść jej z pomocą i ułatwić wydanie pism męża, ale i w tym wypadku płaczliwe odwoływanie się do litości czytelników, było niewłaściwym i kompromitującym. Zarówno w przedmowie do dzieł, jak i w wielu wzmiankach dziennikarskich, stale powtarza się ta żebrząca nuta. Nie winimy o to rodziny Kondratowicza, ale tych, zbyt życzliwych jej przyjaciół, którzy zajmowali się wydawnictwem i pojąć nie mogli, że przedstawianie w roli „sierot” trzydziesto-kilkoletnich, zdol-

nych do pracy mężczyzn, ośmiesza i poniża tych, niewątpliwie uczciwych i przyzwoitych ludzi.

* * *

— **Ciekawa statystyka.** *Słowo* na podstawie sprawozdań pruskiego urzędu statystycznego stara się dać odpowiedź na pytanie: „co bywa przyczyną przymusowej sprzedaży własności ziemskiej”.

Z ostatniego wydawnictwa biura statystycznego dowiadujemy się, że w roku finansowym 1886/7 odbyło się w Prusach 2,835 przymusowych sprzedaży własności ziemskiej. Przyczyną sprzedaży w znacznej części dóbr owych było ogólne przesilenie rolnicze, które szczególnie się dało uczuć we wschodnich dzielnicach Prus, a więc w Prusach Wschodnich i Zachodnich, w Poznańskim i na Śląsku, i to głównie większym właścicielom ziemskim.

Rzadziej spowodowała subhastę lichwa, częściej stosunki familijne, choroba właściciela, klęski elementarne, jeszcze częściej nierozważne kupno majątku z małym kapitałem, działy familijne... i wina samego właściciela. Stosunek owych przyczyn subhastacji wykaże nam następujące zestawienie, wskazujące: ile sprzedaży z ogólnej liczby spowodowała ta lub owa przyczyna:

Sprzedano z ogólnej liczby z powodu:	
przesilenia rolniczego	5.90%
lichwy i przeplacenia przy kupnie	3.09%
stosunków familijnych i oboroby	10.00%
„ handlowych	6.73%
klęsk elementarnych	6.18%
objęcia w złych warunkach	19.55%
regulacji spadku	5.72%
z własnej winy właściciela	41.95%
innych przyczyn	0.86%

W Bawarii w tymże roku, z ogólnej liczby majątków sprzedanych przypadało 22.2 proc., zaś w W. Ks. Bawarskim 38.9 proc. takich, które sprzedano z powodu osobistej winy właściciela.

W Prusiech w roku owym sprzedano 183 majątków jedynie z powodu złej gospodarki, braku doświadczenia i nieumiejętności właściciela, 87 z powodu maraotrawstwa i namiętności do gry, 36 jedynie z powodu pijaństwa właściciela, 52 z powodu lenistwa, 26 z powodu sobkowstwa (?).

Dalej zaznaczyć należy, że konieczność działów majątkowych doprowadzała do sprzedaży przymusowej najwięcej w Prusach Wschodnich i w Poznańskim.

Widzimy tedy, że nie jakieś klęski nadzwyczajne, na które bankrutujący właściciele ziemscy zwykle się uskarżają, lecz własna wina, brak dostatecznego wykształcenia fachowego, nieogledność lub lekkomyślność stają się powodem upadku rolnika i przymusowej sprzedaży jego mienia. Tak jest w Prusach; gdzieindziej prawdopodobnie jeszcze większy procent sprzedaży wynika z własnej winy właściciela.

Z KRAJU.

Skargi wszelakie. — O kredycie dla rolników — czytaj obywateli ziemskich. — Zasługi adwokatów lubelskich. — Próbkę stylu doktora-filantropa.

Biorę po kolei do ręki numery kilku pism prowincjonalnych i w każdym spotykam jakąś skargę. Płacze rolnik, że pomimo pozornego urodzaju zboże w tym roku nienamlotne i że niema taniego kredytu; skarży się rzemieślnik na konkurencję żydowską i protegowanie partactwa przez rozmaite instytucje, jak np. kolej dąbrowska; na żydów również biada kupiec, uczestnik sklepu udziałowego; adwokaci patentowani w Lublinie narzekają na współzawodnictwo obrońców niepatentowanych i proszą władzy o zaprowadzenie monopolu; wreszcie w imieniu lekarzy dr. Doliński utyskuje na społeczeństwo, że od biednych medyków za dużo wymaga.

...I to teraz brzmi najgłośniejszą jęklącą piosenką, kiedy właśnie wchodzące do życia młode pokolenie ma się podobno odznaczać pogodnym poglądem na stosunki ludzkie. Już nieraz ciężkie są warunki życia, ale dużo w tych skargach melancholii dziadowskiej i płakiwego niedołęztwa, a więcej jeszcze wyrzutów, że nikt nam pomódz nie chce, chociaż sami nie probujemy wcale pomódz sobie.

Oto np. w *Gazecie radomskiej* skarży się p. F. K., że rolnicy, co, jak wiadomo, znaczy u nas obywatele ziemscy, nie mogą dostać taniego kredytu i dochodzi do wniosku, że „większość

potrzebuje poparcia od rządu”. Istotnie producenci rolni nie mają taniego kredytu — i mieć nie mogą z racji swej nieakuratności a raczej niemożliwości być akuratywni. Tam gdzie wydatek goni za wydatkiem, gdzie coraz to nową dziurę żypychać trzeba, trudno w terminie spełniać zobowiązania. Z tego względu prywatne instytucje finansowe nie chcą udzielać rolnikom kredytu, lub jeżeli dają pożyczkę, to biorą wysoki procent i obciążają dłużnika rozmaitemi formalnościami. Ze swego punktu widzenia mają banki zupełną słuszność. Dziwnym, a nawet oburzającym wydaje się fakt, że kupiec, mający w obrocie jakie 5,000 rubli kapitału, otrzymuje parotysięczny kredyt, kiedy obywatel, którego majątek wart 50,000, nieraz tysiąca nawet nie dostanie, „Przecie ja posiadam własność, która daje pewną gwarancję”, skarży się taki aspirant do pożyczki, „a taki kupiec cały swój fundusik ma w obrocie”. Prawda, ale właśnie dla tego, że kupiec lub przemysłowiec może uruchomić cały fundusz, a przynajmniej znaczną część jego, instytucja finansowa otwiera mu kredyt. Kupiec, który bierze 2,000 rubli pożyczki i za te pieniądze nabywa zaraz towar, ma możność w terminie spełnić zobowiązanie, bo w każdej chwili towar ten jeżeli nawet nie z zyskiem, to z niewielką stratą sprzeda. Rolnik nie zawsze zrobi to potrafi, to też każdy kredyt, nawet tani, jest dlań w rezultacie szkodliwym. Już ciż z dwojga złego lepszy jest kredyt tani, aniżeli drogi, lichwiarski, ale nie trzeba dziwić się bankom, że nie dają pożyczek obywatelom ziemskim, ani rządowi, że nie zakłada instytucji kredytowych dla rolników. Rząd nie może się bawić w filantropiję, a tani kredyt dla rolnictwa byłby taką zabawą.

Próba z bankiem szlacheckim w Cesarstwie, którego dłużnicy, wzięwszy znaczne sumy, pomimo różnych ulg, w ciągu lat kilku nieraz ani jednej raty nie zapłacili i nieakuratnością swą doprowadzili do tego, że obecnie około 3,000 majątków idzie na sprzedaż z licytacji — jest bardzo pouczającym przykładem. Zresztą kredyt rządowy nie mógł być tani, należałoby bowiem płacić około 7 — 8%, jeżeli instytucja nie bawiła by się w filantropiję. Na takich zaś warunkach nie byłoby trudnem znalezienie kredytu w instytucjach prywatnych, gdyby ziemianie poważnie o tem pomyśleli.

Banki nie chcą czy nie mogą dawać producentom rolnym taniego kredytu, w takim razie wypada stworzyć własne instytucje pożyczkowe. Nie potrzeba zaś do tego ani wielkiego kapitału, ani szczególnego poparcia, są nawet już wzory, jak np. towarzystwo wkładowo-zaliczkowe w Grójcu. Taka kasa wkładowo-zaliczkowa mogłaby udzielać pożyczek krótkoterminowych na procent 7—8 proc. rocznie. Fundusze by się znalazły, gdyby tylko dłużnicy sumiennie spełniali zobowiązania. W każdym prawie powiecie mogłaby istnieć taka kasa.

Pożyczka na 7 — 8% byłaby dobrodziejstwem dla tych, którzy dziś płacą trzy albo i cztery razy tyle. Znam np. fakt taki, że człowiek zamożny, posiadający majątek nie obdłużony, zawsze z łatwością dostaje od żydów pieniądze, kiedy mu chwilowo potrzeba, ale na 15 proc. rocznie i nie inaczej, jak na termin kilkomiesięczny. Dla takich kasa pożyczkowa stanowiła by znaczną ulgę, ale inni którzy pożyczają dla załatwienia naglących wydatków, nie mieliby z czego oddać w terminie i doprowadziliby instytucję do bankructwa. Oto przyczyna, dla czego kasy wkładowo-zaliczkowe nie powstają, chociaż nie temu nie stoi na przeszkodzie i chociaż kredyt, jakiby dawały, względnie byłby tanim.

Nie potrzebuje dodawać, że p. F. K. liczy (a jakże!) na fundusz użyteczności publicznej, nie pytając się zgoła, czy ta resztką, która zeń została, wystarczyła by na zapchanie dziurawych kieszeni ziemian bodaj w jednym powiecie.

— Adwokaci lubelscy tyle razy skarżyli się już na obrońców prywatnych, doradców pokątnych i t. zw. łapaczy, że jeremiai ich powtarzać nie będą. Zaznaczą tylko, że w *Gazecie lubelskiej* znajduje na pochwałę obrońców patentowanych taki oto fakt. „Zasadniczości” spraw, wnoszonych przez adwokatów przysięgłych do sądu okręgowego, dowodzi ta okoliczność, że np. w r. z. 1/10 tych spraw „przyznane zostały we

wszystkich punktach zasługującymi na uwzględnienie."

Jakto pięknie wygląda $\frac{1}{10}$ spraw, jakie wnoszą adwokaci, sąd uznaje za słuszne! Przeproszę, ale wszak tu mowa o sprawach cywilnych, w których są zawsze dwie strony. Otóż ta druga strona w $\frac{1}{10}$ wypadków miała sprawy „nie zasługujące na uwzględnienie” sądu, a sprawy te wnosili także zapewne adwokaci. Zawsze już tak bywa i inaczej być nie może, kiedy spór prowadzi dwie strony, że połowa pretensyj zasługuje na uwzględnienie a połowa nie. Więc argument ten, użyty na pochwałę pp. adwokatów przysięgłych, prosto wygląda na żart z czytelników, którzy nawet w Lublinie nie są tak naiwni, żeby na taki kiepski figiel złapać się dali. A może $\frac{1}{10}$ spraw, zasługujących na uwzględnienie ma oznaczać odsetek spraw, które sąd przyjął do rozpatrzenia. Ale w takim razie niema się czem chwalić, przeciwnie, ta okoliczność, że jedna z każdych 10-ciu spraw wszczynana była bez żadnej podstawy prawnej lub bez zachowania odpowiednich formalności, świadczy raczej na niekorzyść pp. adwokatów przysięgłych.

Jeżeli adwokaci lubelscy dosyć są skromni i w nagrodę za swoje zasługi żądają tylko pokromienia obrońców prywatnych i pokątnych doradców, to za to lekarze lubelscy, a przynajmniej jeden z nich, p. Doliński odznacza się isticie adwokacką „swobodą” przekonań i wystąpienia. W 258 numerze *Gazety lubelskiej* opisany był wypadek śmierci położnicy. Niezależnie kobieta, o 10 wiorst drogi od Lublina, męczyła się okropnie przez dwa tygodnie i zmarła bez pomocy lekarskiej. „Zdarzyć się to mogło chyba w takiej wiosce, gdzie nikt we dworze nie mieszka,” powiada p. Doliński. „Tam gdzie jest właściciel—to nigdy na fakt podobny nie pozwoli.” Może właściciele ziemscy w lubelskiem mają takie czułe serca—nie przeczę, ale mimo to na fakty tego rodzaju pozwalają nieraz, chociażby dla tego, że zazwyczaj nie wiedzą wcale i nie chcą wiedzieć, co się na wsi dzieje.

„Wciągu dwudziestoletniej praktyki mojej,” ciągnie dalej autor, bardzo często wzywany byłam do podobnych wypadków—i wiem o tem, że nikt z kolegów—lekarzy pomocy swej wieśniakowi nie odmawiał—i jechał chętnie, nie pytając, czy daleko, czy blisko i jakiegokolwiek wynagrodzenie za to otrzyma.” „Boć pomimo tak zwanych ciężkich czasów i powszechnie głoszonej zasady, nie darmo, lekarz uczciwy filantropem być musi, z natury i przekonań swych i powołania swego.”

Jakież to szczęśliwe miasto ten Lublin, że posiada samych tylko uczciwych, a więc filantropów lekarzy. Nie mogę p. Dolińskiemu nie wierzyć, ale nie mogę też zapomnieć faktu, że niema jeszcze 20, a nawet 15 lat, kiedy nie chłop, ale dzierżawca folwarku z pod Lublina, wzywał napróżno kilku doktorów do żony, która miała właśnie „ciężki wypadek porodowy.” Nie wiem czy dla tego, że dzierżawca ów prezentował się niepocześnie, naprędce bowiem wdział na siebie jakąś starą, oberwaną burkę, ale żaden z oburzonych w nocy lekarzy jechać z nim dobrowolnie nie chciał. Dopiero trzeci czy czwarty pojechał i to wtedy, kiedy oburzony dzierżawca oświadczył, że omlóci go kijem. Teraz widocznie zmieniło się na lepsze i niema w Lublinie innych doktorów oprócz uczciwych, t. j. filantropów z przekonań i powołania.

I dr. Doliński, rozumie się, jest filantropem. Proszę tylko posłuchać, jak ładnie, z jaką sympatyją dla ludu przemawia. „Będziemy spełniać zadanie nasze cywilizacyjne wobec ciemnego ludu, jak należy, ale niechże ktoś zajmie się organizacją tej pomocy, tego zadania, tej służby.” Wszak „braku poczucia obywatelskiego obowiązku” lekarzom zarzucić niemożna. Przecie taki filantrop, kiedy leczy chłopca zność musi wszelkie przykrości: „w chacie duszno i ciemno, pomocy żadnej, otoczenie głupie, płaczące się bezładnie,” w końcu wypadnie mu nawet „wyrzucić za drzwi kilkunastu bezpłatnych widzów.” Ale za to „chłopca leczyć można przewybornie.” „Widziałem chłopów, zdejmowanych z łuśni, na której się, spadając z zapola, żebrem zawiesili. Wyciągałem własnoręcznie kose, którą kum kumowi ze dwa cale w sam środek rozumu wgtębił, widziałem poturbowanych kołkiem z płotu somsiadów, którzy, zabawiwszy się, probowali

w ten sposób wytrzymałości tak nazwanych gnatów. I nic—złych następstw z tych drobiazgów nie było.”

Nie, zaiste, jakież to ciemny lud, jakież to „głupie otoczenie” chłopskie, że nie umie cenić wszelkich filantropów z przekonań i powołania, którzy z taką delikatnością uczucia mówią o dolegliwościach chłopów, którzy tak się poświęcają, że „trzęsą kości na wiązce grochów” i pomimo zmęczenia potrafią jednak własnoręcznie „wyrzucić za drzwi” widzów.

Ale na szczęście nie brak u nas szlachetnych filantropów, którzy, nie bacząc na niewdzięczność chłopską, gotowi są „spełniać zadanie cywilizacyjne w obec ciemnego ludu,” rozumie się za skromne wynagrodzenie. Nie wiele nawet trzeba: „grosz tygodniowo od każdego członka gminy wystarczy. Zapewne....

J. Nieborski.

Z WIEDNIA.

V.

Ubiegły okres sejmowy w Austrii w tym roku pod niejednym względem zasługuje na uwagę. Sejmy w poszczególnych krajach koronnych stały pod znakiem przyszłych wyborów ogólnych do rady państwa, które najpóźniej w lipcu 1891 r. nastąpią. Do tych wyborów stronnictwa polityczne w Austrii przywiązują wielkie znaczenie, wynik ich bowiem decydować ma o przyszłym ukształtowaniu się polityki wewnętrznej, o ugrupowaniu się stronnictw w parlamencie, o upadku lub dalszym trwaniu, obecnego systemu rządowego. Do tych wyborów ogólnych stronnictwa polityczne wszędzie się już przygotowują. Każde starało się pozyskać wyborców dla swych idei, dla swych programów, wskutek czego w sejmach pojawiały się liczne wnioski popularne, dla tego dyskusje były nader zajmujące, bo przemawiano, że się tak wyrażę, do „ulicy”, do ogółu wyborców. Do szeregu wniosków i uchwał popularnych należą: uchwała sejmowa dolno austriackiego i salcburskiego, aby wybory do sejmów z kuryi włościańskiej były bezpośrednie. Takim wnioskiem popularnym w sejmie galicyjskim był wniosek rusina Teliżewskiego, dotyczący również zaprowadzenia bezpośrednich wyborów z kuryi włościańskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że system wyborczy w Austrii jest dziwnie przykrojony na korzyść klas posiadających, a i to nie wszystkich. Tak np. wybory do sejmów i do rady państwa odbywają się kuryjami. Takich kuryj jest cztery: kuryja większej własności, kuryja miast większych, izby handlowe i kuryja włościańska, do której należą wsie i mniejsze miasta i miasteczka. Podstawą prawa wyborczego jest cenzus podatkowy, wynoszący najmniej 5 guldenów rocznie. Z pierwszych trzech kuryj uprawnieni do głosowania biorą wprost udział w wyborach. W kuryjach włościańskich zaś każdy płacący podatek jest tylko t. z. prawyborcą, a prawyborcy z każdej wsi wybierają po kilku mężów zaufania, wyborców (Wahlmänner) ci zaś dopiero przystępują do wyboru posła. Łatwo zrozumieć, że przy tym systemie włościańskie prawo wyborcze ma problematyczną wartość. Prawyborca prawie wcale na wybór nie wpływa, maż zaufania, wyborca o wszystkim decyduje, a ponieważ ci nieraz są przystępni datkowi lub ulegają, jak np: w Galicyi, naciskowi urzędników, przeto jako reprezentanci włościan figurują w sejmach i radzie państwa ludzie, nieposiadający wcale zaufania włościan, ludzie, których interes kastowy jest wprost przeciwny interesom włościanstwa. Aby te niewłaściwości usunąć, należałoby system prawyborców w kuryjach włościańskich znieść, i dla tego to wyżej przytoczone uchwały i wnioski mają doniosłe znaczenie. Reformą wyborczą zajmują się jeszcze i demokraci. Ci niedawno odbyli w największej sali wiedeńskiej, u Schwendera, zgromadzenie ludowe, na którym zjawilo się z górą 8,000 ludzi. Uchwalono domagać się od rządu zaprowadzenia powszechnego prawa głosowania, a zatem udzielenia prawa wyborczego wszystkim obywatelom państwa, bez względu na ilość opłacanego podatku. Do uchwał tego wiecu ludowego przystępują liczne stowarzyszenia polityczne, a nawet w Galicyi

niedawno odbyty wiec włościański ruski w Sniatynie wystosował petycję do rady państwa o zaprowadzenie powszechnego prawa głosowania. Dnia 4 b. m. zbiera się w Wiedniu rada państwa i z pewnością sprawa reformy wyborczej stanie się przedmiotem zajmujących rozpraw.

Jak wam w pierwszym liście jeszcze przed dwoma miesiącami przepowiedziałem, t. z. ugodę czesko-niemiecką za rozbitą obecnie uważać należy. Młodoczesi w poczuciu zaufania większości narodu czeskiego dzielnie się bronili przeciw zakusom niemieckim. Ustawa o podziale rady kultury krajowej w ubiegłej sesji uchwalona być nie mogła, do każdego niemal paragrafu zamierzonej ustawy młodoczesi stawiali poprawki, uzasadniali je długimi mowami, trwającymi całe godziny. Taktyka ta dokazała, że pomimo, iż sesja sejmowa trwała 6 tygodni, ustawa do skutku nie przyszła, dokonała jeszcze i tego że obóz staroczechów prawie w rozsypkę poszedł, najwierniejsi przyjaciele Riegera opuścili go i w sejmie jawnie głosowali z młodoczechami. W sferach rządowych panuje wielka konsternacja z powodu takiego rezultatu, grożą obecnie czechom, że przyjdzie ministeryjum niemieckopolskie do steru, które mniej uwzględnić będzie narodowe życzenia czechów. Są to zwykłe strachy; naród czeski, politycznie najdorzalszy ze wszystkich ludów słowiańskich Austrii, przetrwał już cięższe czasy, nie lęka się on czczych groźb już choćby z tego powodu, że czesi są świadomi, iż jako słowianie stanowią istotną, niezbędną podporę dynastji Habsburgów przeciw prądom prusofilskim wśród Niemców. Co się tyczy napaści na czechów prasy konserwatywnej polskiej w Galicyi, to czesi słusznie się spodziewają, że ludność galicyjska potrafi powstrzymać zapędy karyjerowiczów, którzy dla orderu, zaszczytów lub synekur gotowi są przyłożyć ręki do gnębienia pobratymczego narodu. Ujemny dla Niemców wynik akcji ugodowej tak ich rozdrażnił, że postanowili nie obesać projektowanej na rok przyszły wystawy krajowej w Pradze. Krok to dla Niemców nader ryzykowny, gdyż, jak wiadomo, wystawa odbyć się ma pod protektoratem cesarza, a uchwała ta wprost się sprzeciwia intencyjom monarchji. Czesi na tej demonstracji nie nie tracą, wystawa będzie miała charakter czysto czeski, czysto słowiański, a wypadnie z pewnością świetnie, gdyż przemysł czeski i rolnictwo czeskie stoją w Austrii najwyżej, reszty dokona znana ofiarność czeska, gdy chodzi o cele narodowe.

Piszac wam z Wiednia, mimowolnie nieraz zawiadzić muszę o sprawy galicyjskie, choćby dla tego, że stosunki galicyjskie mają wielki wpływ na wewnętrzną politykę Austrii, bo posłowie galicyjscy stanowią największy odłam stronnictwa rządowego. Uległość większości posłów galicyjskich dla rządu jest przysłowiością, wszystko, co się dzieje we Wiedniu na szkodę Galicyi, jest pokryte „wolą” kraju całego, chociaż w rzeczywistości najczęściej mamy do czynienia z aktami rządu, pokrytymi „powagą” delegacji galicyjskiej, idącej na oslep na rozkaz korony. Nieporozumienia z rusinami w Galicyi trzeba zwykle klasąć na karb polityki rządu austriackiego, a nie społeczeństwa polskiego.

Rozumie się, że rząd wobec świata zawsze odium niesłuszności traktowania rusinów stara się spychać na „polaków.” Jest to wprawdzie nieszlachetnie, ale bardzo wygodnie. A pozoruje rząd tę dla ludności polskiej szkodliwą politykę tem, że zawsze do gnębienia rusinów używa urzędników swoich pochodzenia polskiego, że większość delegacji galicyjskiej, uległa z egoistycznych nieraz powodów rządowi, pokrywa polskiem imieniem to, czegoby społeczeństwo polskie w Galicyi nigdy nie zrobiło. Tak to powstała wersja ucisku rusinów przez polaków w Galicyi, skrzętnie podtrzymywana wiekowym systemem austriackim divide et impera. Ale ten stan rzeczy na długo w Galicyi utrzymać się nie może, coraz bardziej krzewią się wśród ludności idee demokratyczne, coraz bardziej społeczeństwo galicyjsko-polskie stara się wyswobodzić z pod wpływu klikki stańczykowskiej oligarchów galicyjskich. Dowodem tej poczynającej się emancypacji ludności z pod teroryzmu oligarchii są wyniki zeszlorocznych wyborów do sejmów i niedawno odbyty wybór w Krakowie. Hasłem stronnictwa demokratycznego w Galicyi jest, jak wiadomo, przyznanie rusinom przy-

należnych im praw narodowych. Ze stronnictwem demokratycznym w Galicyi sympatyzowali rusini narodowcy, w sejmie nie raz klub ruski z klubem lewicy polskiej szedł ręką w rękę. Groziło więc systemowi divide et impera w Galicyi bankructwo polityczne już w najbliższej przyszłości. Ale od czegoż polityka? Aby to nie nastąpiło, aby powstrzymać dalszy rozwój żywiołu demokratycznego polskiego i ruskiego, imieniem rządu namiestnik hr. Badeni wszedł w rokowania z częścią klubu ruskiego. Rezultatem tych pertraktacji były znane wam zapewne oświadczenia w sejmie ze strony ruskiej, ze strony namiestnika i partii konserwatywnej. Ze wszystkich stron zabrzmiały głosy: ugoda—a imieniem rusinów profesor Romańczuk oświadczył, że programem ugodowym ich jest wierność dla kościoła katolickiego, wierność dla tronu Habsburgów i odrębność narodowości rusińskiej. Trzeci tylko punkt tego programu ma znaczenie, ale kładzenie nacisku na przywiązanie do kościoła katolickiego i wierność do tronu wygląda, jakoby rusini, nie piszący się np. na taki ograniczony program, żądający np. jeszcze ważniejszych rzeczy jak np. naprawy stosunków ekonomicznych, nie byli ani katolikami, ani wiernymi poddanymi. Jak widzicie, obecna ugoda rządu z rusinami (przezywają to ugodą polsko-ruską) spoczywa na bardzo słabych podstawach, nie ma ona silnej opory w szerszych warstwach społeczeństwa ani polskiego, ani ruskiego. Prawdziwa ugoda dojdzie w Galicyi do skutku, gdy będzie dana tam możność swobodnego, bez wpływu a nawet rozkazu rządowego, porozumienia się ludu z ludem, narodowości polskiej z narodowością ruską. Nie mniej jednak już obecne próby ugodowe w Galicyi mają nie małe znaczenie polityczne—a podnoszą to z naciskiem—tylko dla rządu. Wskutek przejścia młodoczechów do opozycji przeciw rządowi, powstała słuszna obawa, że rusini mogą się przyłączyć do młodoczechów. Trzeba więc było koniecznie poczynić pewne ustępstwa rusinom, aby temu przeszkodzić. I to właśnie jest geneza zapowiedzianych przez rząd ulg dla rusinów; ulgi to drobne, bo oprócz ustępstw językowych każdy naród ma jeszcze donioślejsze potrzeby społeczne, a w ugodzie ruskiej z rządem właśnie o tych sprawach nie ma mowy.

Obóz t. z. antysemitki jest w pełni rozstrój. Na czele niezadowolonych z obecnego ustroju społecznego stanęli ludzie zręczni wprawdzie w agitacji politycznej, ale nie koniecznie nieskazitelny charakter. Do takich należy niejaki Vergani, wydawca pisma codziennego „Deutsches Volksblatt.” Pan ten, goniąc za bogactwami za jakąkolwiek cenę, był pierwotnie „gründerem”, projektowicie towarzyszem akcyjnych obliczonych na wyzyskiwanie ludności. Gdy mu się to nie udało, stał się antysemitą i przyłączył się do stronnictwa antysemitki-prusofilskiego Schönerera.

O programie tego ostatniego pisałem już obszernie, dość tu dodać, że Vergani skazał i pośrednio rozbił obóz Schönerera, który, pominiawszy prusofilizm, miał program szczerze ludowy. Teraz wre najzaciętsza walka między Schönererem, a Efiatesem narodowców niemieckich, Verganim. Schönerer prawie codziennie na podstawie dokumentów demaskuje Verganiego, człowieka o którym twierdzi, że za pieniądze gotów siebie każdy, choćby i niehonorowej sprawie sprzedać.

Veritas.

Korespondencje „Głosu”.

Z Bobrujska.

(Robotnicy w fabrykach tytoniu).

Oddawna na głównej ulicy Bobrujska zwracał moją uwagę czarny szyld z wielkim złocnym napisem: „Fabryka tytoniu” i drugi mniejszy na furtce od bramy: „Obcym wejście wzbronione”. Nieraz przez kratę w furtce widziałem nędzny budynek fabryki pośród brudnego dziedzińca; pałałem jednak ciekawością dowiedzenia się, co dzieje się wewnątrz fabryki, zwłaszcza podczas roboty. Później, kiedy ciekawość moja odnośnie do tej fabryki została zaspokojoną, zszedłem dla porównania drugą, znajdującą

się w Bobrujsku fabrykę tytoniu. Dane, jakie mi się udało podczas tych odwiedzin zebrać, są tak ciekawe, że pragnę się nimi podzielić z wami.

Wiem, że interesuje was głównie stan robotnika fabrycznego, pomijam więc wszelkie dane o produkcji tytoniu. Czytelnik na wzmiankę o fabryce przedstawi sobie pewno obszerny, stosownie urządzony gmach fabryczny, tymczasem fabryka tutejsza—to drewniany dom z małemi, zasłoniętymi żelazną siatką okienkami, z wejściem tak brudnym, że z obawy zawałania odzienia lub posłizgnięcia się przekroczenie jej progów wydaje się rzeczą ryzykowną. Wewnątrz to samo niechlujstwo i ciasnota. Czuć tutaj wilgoć i zupełny brak powietrza; izby napełnione są tytoniowym pyłem, w którym, jak we mgle, nikną postacie robotników. Niema tu żadnej wentylacji; zjadliwy pył przedostaje się przez niki ściany do sąsiednich pokoi. W jednym z nich siedzi urzędnik z akcyzy, który pomimo dwudziestokiloletniego przyzwyczajenia codzien pod wieczór skarży się na ból głowy, upadek sił i inne przypadłości. Cóż wobec tego przechodzić muszą robotnicy, zwłaszcza wyrabiający tabakę w oddzielnej izbie, gdzie dosłownie rozpoznać ich trudno wśród gęstych tumanów pyłu?

Jeden z urzędników, od kilku lat znajdujący się w fabryce, zapytany o stan zdrowia robotników, odpowiedział mi dosyć naiwnie, iż cierpią oni z początku na ból głowy, odurzenie, ulegają silnym wymiotom i omdleniu, potem zaś przyzwyczajają się i, jakkolwiek są wynędzniali i mają żółto-zieloną cerę, to jednak są zdrowi. Kto inny zaś, człowiek z życiem fabrycznym doskonale oszajmiony, objaśnił mnie, że robotnik jest w stanie pracować tutaj najdłużej 15 lat, bo w końcu „nie może znieść tego powietrza i czuje zupełny npadek sił”. Zwyczajnie stanowi temu towarzyszą choroby serca, płuc, wzroku, wreszcie zidyjocenie. Niewątpliwie los ten spotyka robotnika tem prędzej, im wcześniej wstąpił w dzieciństwo do fabryki. Podług danych publikowanych niema tu robotników młodszych nad lat 15, jednak w rzeczywistości pracują tu dzieci 12 do 13 letnie, jakkolwiek daleko starszej wyglądają. Kobiet za to w fabryce niema wcale.

Byłem świadkiem, jak z oddziału, gdzie wyrabia się tabaka, wypadł do sieni młody, dwudziestokiloletni mężczyzna, jak trup błądy; rzucił się do wiadra i zaczął łapczywie pić wodę, lecz niebawem padł omdlały na progu i długo z trudem wciągał powietrze. Gdy stał nad nim, ostępiony z przerażenia, zbliżył się kontroler i wytłomaczył mi, że takie wypadki powtarzają się z nim co pół godziny; przed paru laty ten sam robotnik mógł pracować, nie mdlejąc, 3—4 godzin z rzędu. Wkrótce robotnik przyszedł do siebie, obwiązał mokrym gałganem nos i usta i powlókł się z powrotem do roboty. Co się tyczy długości dnia roboczego, fabryka nie robi różnicy pomiędzy nieletnimi i dorosłymi robotnikami: wszyscy pracują około 11 godzin dziennie. Jeżeli dodamy do tego czas potrzebny na t. zw. ukończenie roboty, t. j. zamiatanie i uprzątnięcie fabryki, następnie czas poświęcany na wędrowkę do fabryki i powrót do domu, wreszcie na obiad, to wypadnie, iż robotnik znajduje się po za domem 13—14 godzin.

Zobaczmy teraz, jak opłaca fabryka pracę i zdrowie robotnika. Są dwa rodzaje wynagrodzenia: „od puda” (10 i 20 kop.), które dać może robotnikowi przy najlepszych okolicznościach 40—50 kop. dziennie i pensja miesięczna, istniejąca, co prawda, tylko w sprawozdaniach, która nominalnie powstaje z pomnożenia płacy dziennej na 30. W ten sposób, jeżeli robotnik pracuje codziennie, miesięczne wynagrodzenie powinno być następujące: 5 proc. robotników pobierało by miesięcznie 16 rs., 10 proc.—14 rs., 5 proc.—12 rs., 10 proc.—7 rs., 25 proc.—5 rs., 10 proc.—4 rs., 5 proc.—3 rs., 30 proc. (wynagradzanych od puda)—12—15 rs.; wreszcie starsi robotnicy (dozorcy) powinni otrzymywać po 13 rs. W rzeczywistości zaś płaca zarobna za 30 dni pracy (bez świąt) znacznie jest niższą. Ci, co według powyższego spisu otrzymywać mają po 12 rs., w rzeczywistości pobierają 6 rs., inni zamiast 5 rs. otrzymują 4 rs., 3-rublowy zaś robotnik bierze tylko 2 rs. 40 kop. Co się tyczy dozorców, to ci otrzymują

nie 13 rs., lecz 20 rs. Jeżeli odtrącimy dni galowe, święta i szabasy, jak również dni oddawania tytoniu do składu, to otrzymamy w miesiącu dni roboczych opłacanych przeciętnie 20 (w styczniu było ich 18, w lutym—21). Z tego względu, aby mieć prawdziwe pojęcie o miesięcznym zarobku robotnika, należy odtrącić z jego nominalnej pensji trzecią część; a wtedy otrzymamy zamiast 2 rs. 40 kop. tylko 1 rs. 60 kop. zamiast 3 rs.—2 rs. i t. d.

Czytelnik zapyta prawdopodobnie, czy robotnik może utrzymać się z tego zarobku. Wiele może ten, co musi. Jeden z nieletnich robotników, pobierający 1 rs. 60 k. miesięcznie, przyznał się przede mną, wiele zarabia miesięcznie, lecz zarazem błagał, bym nikomu o tem nie mówił, bo on może stracić za to miejsce. Więc i takie „miejsce” można cenić! Na pytanie, jak sobie radzi przy tym zarobku, przedstawił mi swój miesięczny budżet. Za mieszkanie płaci miesięcznie 30 kop., funt chleba kosztuje go dziennie 2 kop., kawałek koziego sera lub sędzia—1 kop.; to jest cały jego pokarm. Pozostaje 40 kop. na resztę potrzeb: odzienie i inne wygody życia; potrzeby to niewielkie: zamiast odzienia ma na sobie jakiś łachman, bielizny nie używa wcale. Większość dzieci mieszka przy rodzicach i tych położenie jest nieco lepsze; ten, o którym mówię, jest sierotą.

Fabryka nie nie przysięga w celu ulepszenia warunków higienicznych pracowników. Pracują oni we własnym ubraniu, a i ten gałgan, którzy noszą na ustach, stanowi ich własność. O zabezpieczeniu robotników i ich rodzin na wypadek chorób i śmierci niemożna być mowy.

Na zakończenie dodam, że podwyższenie akcyzy od wyrobów tytoniowych, jak to było do przewidzenia, nie zmniejszyło wcale dochodu fabrykantów. Zwykłą tę bowiem pokryli robotnicy, których płaca zarobna została odpowiednio zmniejszoną. M. B.

Przegląd społeczny.

Radom. (Kor. „Głosu”). W ostatnich czasach w Majkowie, osadzie leśnej, należącej do leśnictwa Bolzentynskiego, jakiś człowiek, którego dotąd nie wykryto, strzelił wieczorem przez okno do pomocnika leśniczego, p. Aleksiejewa. P. A. został postrzelony w nogi i życia nie postradał. Ten fakt przypomniał mi to, co pisaliście w N. 40 Głosu w „Listach ze wsi” o stosunkach leśnych w Świętokrzyskiem. Jest to jedyna w Królestwie okolica, gdzie fakty podobne stale się powtarzają. Napady na gajowych, podpalania budynków służby leśnej i t. p. są tu na porządku dziennym. Dowodzi to niskiego stanu kultury miejscowej ludności. Można śmiało powiedzieć, że prawie wszyscy mieszkańcy tych okolic są leśnymi kontrabandzistami. Tylko gdy jedni ludzie zaspakajają w ten sposób swe potrzeby, u drugich kontrabanda przechodzi w rzemiosło. Ci dostarczają drzewa żydom do okolicznych miasteczek. W fachu tym butny lud tutejszy postępuje, jak na wojnie: spryt, siła, mściwość a brak skrupułów cechują defraudantów. W razie niepowodzenia, które częstokroć kończy się zrujnowaniem majątkowym, defraudant mści się na służbie leśnej.

Michta.

Lublin. (Kor. Głosu) Miejscowa gazeta umieściła w tych dniach artykuł „W sprawie pomocy lekarskiej na wsi” wzywający te warstwy inteligencji, które nie wiedzą co robić ze swemi pannami, częstokroć marnującymi się w szwalniach, do kształcenia ich w zawodzie akuszeryjnym. Na dowód, w jak suutnem położeniu pod względem pomocy lekarskiej znajdują się chłopci, odsunięci od „stołu biesiadnego” cywilizacji, autor artykułu cytuje fakt następujący: „Niedaleko od Lublina, zaledwie bowiem o dziesięć wiorst od miasta uboga wieśniaczka, skutkiem nieumiejętności znachorki-babki—cierpiała strasznie przez dwa blisko tygodnie; cierpiała bez żadnego zgoła ratunku, gdyż wzywane kolejno „baby” nie jej pomódz nie mogły. Mąż chorej kobiety, kilkomorgowy gospodarz, zmęczony bezsennością nocami, strapiiony widokiem dziewięciorga dzieci, które zapewne czekała sieroca dola, posiadającą nędzną szkapinę, prosi sąsiadów o drugą, bo droga boczna w tej porze jesiennej opiera się sile jednego chudzińskiego chłopskiego; sąsiadzi odmawiają; biegnie tedy do Niemca—baptysty i ten mu za malużką zapłatę pożyczą dobrze karmionego konia, i bryozkę, domyślacie się, na sprowadzenie księdza, gdyż o tem przedewszystkiem pobożny wieśniak pamięta. Na-

leżało teraz pomyśleć o pomocy lekarza. To trudność, równająca się podróży na księżyc. Konia drugiego nie ma, bo koń niemca tak się zmęczył, że „w oczach schudł z podróży do miasta.” Żał też gospodarzowi i pieniądze; posiada ich niewiele, lecz wyjmuję rubla, aby chociaż ustnie lekarzowi opowiedzieć stan chorej i następnie kupić lekarstwo. Do którego z lekarzy się udać? Zapukał do kilku i nie zastał. Wrócił do domu zgnębiony. Tych ludzi nieszczęście duchowo paraliżuje, nie myślą o ratunku lecz o następstwach klęski i to ich jeszcze dotkliwiej przygniata i obezwładnia. „Ha, dziej się wola Boża, bo i cóż ja biedny człowiek poradzę?” Oto zwykła ich odpowiedź. Kręcą się niby przy chorej babie, radzą, chłopci zalewają robaka, a chora wije się z bólesci, jeśli jej przeciwieństwo nie budzą tych, którzy powinni pomyśleć o ulżeniu nieszczęśliwym istotom. Wolno im tylko oierpieć i umierać, bo gdy odezwąć się, prosić o co w ich imieniu—to napewno skutek będzie ten, że ci owi pogardliwie ruszą ramionami, inni spokojnie odpowiadzą, że dla upartego i ciemnego chłopca niewarto cokolwiek radzić, bo on tego nie rozumie.

Chora umarła, pomnożyła liczbę statystyki zmarłych z b. m. i b. r.—urosla jedna więcej mogiła; wkrótce i na wsi o niej zapomną, ale sumienie ogółu zapomnieć nie może, bo to jedna więcej plama, jeden więcej głos nieszczęśliwego. W. Ma—rek.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Istnieje u nas od dwóch lat szkoła dentystów, założona przez dr. Levy'ego. Daje ona słuchaczom te same prawa, co szkoła Ważyńskiego w Petersburgu, i dla naszej młodzieży, szczególnie dla kobiet, nie mających częstokroć przed sobą innych dróg kształcenia, może być bardzo pożyteczną. Tymczasem obecnie szkoła ta uczęszczana jest prawie wyłącznie przez żydów; na 76 słuchaczy widzimy tu tylko dwie polki: pp. Justynę Rozwadowską i Aleksandrę Bakunównę. Dziś, kiedy dentyści pod względem materyjalnym nie gorzej, a nie raz lepiej nawet od lekarzy są uposażeni, należałoby kobietom zwrócić uwagę na tę gałąź pracy. Bliższych szczegółów o rzeczonej szkole udzielić mogą na żądanie wymienione powyżej słuchaczki. Adres: Wilno, Gazowa ul., dom Wolańskich. S. W.

Petersburg. Ustawa banku włościańskiego ma być podobno poddana rewizji. Istotnie, praktyka wykazała konieczność tego, coraz częściej bowiem słychać o wystawieniu na sprzedaż gruntów, nabytych przez włościan za pośrednictwem banku. Tak np. oddział tambowski banku wyznaczył na d. 28 lutego sprzedaż 6,750 dziesięcin obciążonych przeszło 600,000 rs. pożyczki co wraz z poprzednio przez tenże oddział sprzedanymi gruntami będzie to stanowić około $\frac{1}{3}$ kupionej przez chłopów ziemi. —Petersburski dom podrzutek wprowadził zwyczaj oddawania nieprawych dzieci na wychowanie ich matkom, które otrzymują za to po 30 kop. dziennie w pierwszym roku i po 20 kop. w drugim. Matki obowiązane są zawiadamiać dom o zmianie lokalu, oraz o zdrowiu dziecka. Zwyczaj ten okazał się nader praktycznym i wpłynął na zmniejszenie śmiertelności. Obecnie dom usiłuje zorganizować kontrolę nad matkami. —Na posiedzeniu petersburskiego towarzystwa słowiańskiego prof. Łamanski odczytał sprawozdanie o 3 pracach, nadesłanych na konkurs imienia św. Cyrylego i Metodego, wyznaczony pierwotnie na 11 maja 1888, potem zaś przedłużony jeszcze na 2 lata. Temat wyznaczony był następujący: „Czy jedność literacka słowian jest możliwą i pożądaną.” Nagrodę (1,500 rs.) przyznano rozprawie prof. uniwersytetu warszawskiego, Budilowicza. Na temże posiedzeniu hr. Ignatjew zawiadomił, że na głodnych czarnogórców, serbów i rusinów galicyjskich zebrano 60 $\frac{1}{2}$ tys. rs., w tej liczbie 20 przy pomocy św. synodu. —Najbliższą reformą w Irlandyi ma być reorganizacja komor celnych, których zarząd poddany będzie zarządowi komor ruskich. Granica oelna między Finlandyją a Rosyją ma być na czas jakiś zostawioną. Będzie też zniesiona osobna moneta fińska. —Dzienniki petersburskie podają wiadomość, że gubernator miński podał prośbę o wprowadzenie instytucji ziemskich naczelników do gubernii mińskiej. —Metoda Kocha wzbudziła powszechne zainteresowanie, dla tego też notujemy, że dr. Uspienski miał odczyt w towarzystwie higienicznym o leczeniu suchot za pomocą emulsji Brown Sequard'a, która okazała się jakoby nader skuteczną. Natomiast w Rydze robią doświadczenia z limfą Kocha nad oborymi na trąd. —Akademija nauk urządza ekspedycyję, mającą zbadać Rosyję pod względem ornitologicznym. Kierownikiem mianowany został nasz rodak J. Czerski, zaszczytnie znany z prac, dotyczących się zoologii i paleontologii Syberyi. Ekspedycyja ma trwać 4 lata. Koszt jej wynosi 22,000 rs.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). W pięknym budynku przy ulicy Sławkowskiej, gdzie, jak powiadają, „mieści się ma-

drość narodu”—zaszły ważne zmiany od soboty. Czytelnik łatwo domyśli się, że mam na myśli naszą akademiję umiejętności. Otóż kierownictwo tym przybytkiem „naszych nieśmiertelnych” przeszło z rąk d-ra Majera w ręce hr. Stanisława Tarnowskiego, profesora, polityka, delegata do rady szkolnej i protektora grzeocznych adeptów literackich. Sekretarzem generalnym akademii, w miejsce p. Tarnowskiego został profesor Smolka, z czego kandydat na tę godność, p. Rostański, podobno wcale się nie cieszy. Radość zato w obozie stańczyków niepaństwowa. „Czas” rokuje uherbowanej akademii wielką przyszłość, bo czego nie zrobił „demokrata” (?) p. Majer, to z łatwością przeprowadzi hrabia i członek izby panów—Tarnowski; zasadzi tam kilka kwiatuśków arystokratycznych, które bujnym plonem wyrosną, zmieni księgarza nakładcę wydawnictw akademii, tego brzydkiego p. Friedleina, który, niepomny protekcyi, śmiało pretendował o łaskę prezydenta miasta, oczyści przybytek nauki z kielkujących tu i owdzie nieprzyjaznych piadów, wreszcie powita w marcu na politycznym posiedzeniu ministra, dziękując za to, co już zrobił i prosząc o jeszcze. Pytanie teraz, czy ustąpienie Majera, a raczej zastąpienie go przez człowieka niewątpliwie zdolnego, ale zasklepionego w rutynie umysłowej i nieposiadającego wykształcenia naukowego — dobre przyniesie owoce. Falsus sim vates! ale zdaje się mi, że tak niestety, nie będzie. —Juści, że p. Tarnowski jest ruchliwszy od p. Majera, że postara się, aby o akademii mówiono więcej, pisano obszerniej, ale wszak chodzi raczej o to, aby działalność instytucji bez reklam usługowych dzienników sama za siebie przemawiała. —Sprawdzono już, że w łonie akademii objawiła się reakcja przeciw Majerowi, że mu koledzy: Bobrzyński, Zoll i Rostański dali wyraźnie do zrozumienia, że powinien zrezygnować, bo tylko wówczas, gdy br. Tarnowski stanie się głową „nieśmiertelnych” — będzie można większą dla akademii wykołać dotacyję. Staruszek usuchał... usunął się. Rozczulony tem prof. Morawski zaprojektował utworzenie fundacyi naukowej im. Majera, co „nieśmiertelni” uchwalili, przypieczętowawszy w ten sposób działalność staruszka. — Ex re sobotniego posiedzenia należy zaznaczyć, że członkami czynnymi akademii obrani zostali pp. Wł. Łoziński, dr. W. Zajączkowski, członkiem korespondentem dr. M. Kawczyński, wreszcie członkami czynnymi zagranicznymi pp. Wł. Spasowicz, L. Pasteur, L. W. Schiaparelli, W. Thomson i prof. Virchow. —Szereg owacyj dla nowego prezesa akademii rozpoczęli w dniu dzisiejszym jego ulubieńcy i protegowani na wykładzie literatury polskiej, gdzie miano powitać prof. hr. Tarnowskiego długimi, a hucznymi okłaskami, wczoraj zaś profesorowie uniwersytetu zakończyli okres owacyj na beneficj p. Bobrzyńskiego, wiceprezydenta rady szkolnej, któremu wręczono ozdobny kałamarz z wieńcem laurowym i wizerunkiem św. Stanisława. Przedmiotem najżarliwszych owacyj jest jednak p. H. Modrzejewska, która pewnie, wyjeżdżając z Krakowa, będzie miała na ustach zdanie Kalchasa: „Za wiele kwiatów.” Artystka wpłynęła nawet na zmiany w redakcyi „Kuryera Polskiego” gdzie wynikł spór z powodu rozbieżności zdań o jej talencie a obywatelsko-filantropijnej działalności między kronikarzem tygodniowym p. Bartoszewiczem a sprawozdawcą teatralnym p. A. Dobrowskim. —Ostatecznie to nieporozumienie artystyczne, które jest o tyle ciekawe, że potusza zasadniczo zakorzeniony u nas kult dla „aktorów - obywateli” dotąd nie jest załatwionem, napiszę więc o niem w liście następnym i wówczas krytycznie oświetlę. —Dr. Wielowiejski ma zostać profesorem anatomii porównawczej na wydziale filozoficznym uniwersytetu jagiellońskiego a jednocześnie objąć wykłady anatomii i fizjologii na fakultecie rolniczym. —Fundacyja stypendyjna śp. d-ra Z. Pileckiego (procent od sumy 40,000 złr.) dla zamierzających kształcić się jeszcze zagranicą adeptów docentury, wejdzie niebawem w życie. —Donoszą nam z Wiednia, że fundacyja 12-tu milionów Hirsza została przez rząd zatwierdzona. 12.

Łódź. (Kor. „Głosu”). W ubiegłym tygodniu odbywały się w naszym mieście posiedzenia XVI walnego zjazdu delegatów „Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych” pod przewodnictwem p. St. Szczepanowskiego. Stowarzyszenia te liczyły w r. 1889 łącznie 138,372 członków. Instytucyja niezaliczkowych posiadała 66, z tych: 13 spożywczych, 5 spółek rolniczych, 5 ochrony własności ziemskiej, 9 tkackich, 23 produkcyjnych itd. Ogólna liczba towarzystw zarobkowo-zaliczkowych wynosi obecnie w Galicyi 264. Rozwijają się one dość pomyślnie, a obok własnych funduszy posiadają kapitały obce, jak pożyczki od osób prywatnych i zakładów finansowych, lokują u siebie fundusze publiczne itd. Szczepanowski, zagajając zjazd, podniósł, że zwiększenie wkładów oszczędności w ciągu 2 lat o 2,600,000 złr. oznacza wzrost zaufania publicznego do towarzystw zaliczkowych. W sprawie projektowanego założenia banku związkowego saznaczył przewodniczący, że zatwierdzenie statutu niebawem nastąpi. Chodziło o zgromadzenie od

towarzystw 125,000 złr. Do subskrypcyi przystąpiło już 79 stowarzyszeń z udziałami na sumę 129,000 złr. Po odczycie d-ra Głabińskiego o znaczeniu waluty i jej zamierzonej reformie w Austrii, referował p. Biechoński sprawę kredytu włościańskiego. Zgromadzenie uchwaliło: a) polecić tow. zaliczkowym, aby udzielały włościanom kredytu hipotecznego amortyzacyjnego z 5 letnim planem umarzania, b) zażądać subwencyi krajowej na zakładanie po wsiach samoistnych towarzystw kredytowych. —Następny zjazd delegatów odbędzie się za rok w Cieszynie. —Dnia 27 b. m. odbyła się w Śniatynie prywatna narada mieszozan i włościan tamtejszego powiatu w sprawie zakładania „spółek ludowych”. Projekt statutu przedłożył dr. Daniłowicz z Kołomyi. Uchwalono poczynić starania co do zatwierdzenia statutu przez namiestnika. —Galicyjskie towarzystwo kredytowe ziemskie rozszerza swą działalność na Bukowinę. Od Nowego Roku wychodził ma przy „Gazecie lwowskiej” dodatek urzędowy w języku ruskim. Poufne okólniki starostw zawiadomiły już o tem księży ruskich na prowincyi. —Zastępcą marszałka w wydziale krajowym został poseł Chamiec. —Wczoraj zmarł tu senior adwokatury, b. poseł na sejm i profesor prawa cywilnego—dr. Maurycy Kabat. Nieboszczyk należał do najzdolniejszych praktyków, a przez dłuższy czas pełnił obowiązki prezesa izby adwokackiej i członka wielu instytucyj finansowych. Lambda.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Rozdwojenie stronnictwa irlandzkiego stało się faktem dokonany. Więcej niż połowa tego stronnictwa odziliła się od Parnella i wybrała na swego przywódcę Mac Carthy'ego, mniejszość pozostała wierna swemu dawnemu wodzowi. Nastąpiło to po burzliwej scenie, Mac Carthy przedstawił Parnellowi, jako przewodniczącemu, wniosek posła Abrahama, domagający się jego rezygnacyi. Parnell podarł wniosek i znieważył czynnie Mac Carthy'ego.

Stronnictwo Mac Carthy'ego zwróciło się do Gladstone'a z prośbą o wyjaśnienie jego programu co do *home-rul'u*, deputacyja przyjęta została bardzo uprzejmie, ale nie otrzymała odpowiedzi. Zatargowi Parnella z Gladstone'm poświęcamy dzisiejszy artykuł wstępny, tu więc zanojemy tylko, że zatarg ten wyraził się dobitnie w zachowaniu się stronnictw podczas obrad nad billem o uwłaszczeniu fermerów irlandzkich. Minister Balfour przedstawił ponownie parlamentowi swój projekt, domagający się udzielania pożyczek fermerów na wykup dzierżawionych gruntów. Dowodził on, że sprawa ta ma interes ogólnopństwowy i dla tego domaga się na nią kredytu państwowego. Labouchère (przedstawiciel radykałów angielskich) wniósł poprawkę, domagającą się odroczenia całej sprawy do czasu, aż wyborcy przy ogólnych wyborach wyrażą swe zdanie co do możliwości używania na takie cele kredytu państwowego.

Gladstone, Harcourt i Morley wyszli z izby przed głosowaniem. Parnell ze swymi stronnictwami głosował za projektem rządowym, który też został przyjęty w drugim ozytaniu większością 268 przeciw 139.

Przyjęty również został wniosek rządowy, domagający się wyasygnowania 5,000 f. st. na rzecz zachodnich prowincyj Irlandyi dla zakupu kartofli na nasiona, oraz na roboty publiczne.

W Wiedniu rozpoczęły się już posiedzenia parlamentarne. Minister Dunajewski przyjemnie zadziwił zgromadzonych budżetem, wykazującym przeszło 2 $\frac{1}{4}$ mil. złr. przewyżki dochodów nad rozchodami. Polityczne znaczenie ma wniosek rządowy, domagający się rozkwatowania pułków bośniacko-hersegowińskich w krajach korony św. Stefana, w celu ich wywócenia wojskowego. Dowodzi to, że rząd austriacki zamierza ostatecznie przyłączyć do swych posiadłości kraje, które kongres berliński powierzył mu tylko w czasową administracyję. Gazety donoszą, że rządy włoski i niemiecki poprzednio już zgodziły się na to.

Zebrał się również parlament niemiecki i zawotował przyłączenie Helgolandu do Prus. Po świętach parlament ten będzie obradował nad bardzo ważnymi kwestyjami, jak np. nad reformą prawodawstwa przemysłowego. Obecnie jednak powszechną uwagę zwraca na siebie pruska komisya szkolna, mająca wypracować reformę szkolną. Cesarz przy jej otwarciu wygłosił mowę, w której poruszył wszystkie kwestyje, łączące się z reformą, a więc nadmiernie filologiczny kierunek wychowania, zaniedbanie języka ojczystego, przeciążenie uczniów, niedostateczny wzgląd na wychowanie fizyczne, jak również hyperproducyję inteligencyi i szerzenie się socjalizmu.

Kardynał Rampolla ogłosił list, wykazujący, że papież zupełnie się zgadza z poglądami kardynała Lavigerie. Wydaje się prawdopodobnem, że zbliżenie się stolicy apostolskiej ku rządowi francuzkiemu nastąpiło skutkiem

tajnego jakiegoś układu. Po za tą sprawą we Francji zwraca uwagę tylko coraz wyraźniejsze niezadowolenie radykałów z gabinetu obecnego. Ten ostatni jednak wychodzi dotąd zwycięsko, jakkolwiek położenie jego nie jest już tak pewnym, jak poprzednio.

Sukcesja po królu Wilhelmie III została już podzieloną. Książę Nassauski objął już tron luksemburski, witalny entuzjastycznie przez nowych swych poddanych. Czy jednak zmiany te nie wywołają z czasem jakich poważniejszych zatargów, przesądzać niepodobna. Pogląd, że między trójprzymierzem a Anglią toczą się jakieś układy o Luksemburg, wywołuje poważne zaniepokojenie.

Królowa Natlija pomimo niechęci rządu przedstawiła skupecznie memoriał, wyjaśniający cały przebieg jej rozterki z królem Milanem i domagający się przyznania jej prawa widywania się z synem w niedziele i święta. Rząd nie przyznaje skupecznie prawa do wdawania się w stosunki domu królewskiego, ponieważ według konstytucji należą one wyłącznie do króla, względnie do regencyi.

Cesarz Wilhelm zażądał wyczerpującego sprawozdania o przyczynach strejku robotników, „pracujących w fabrykach cygar w Hamburgu i Altonie. Zmowa powstała tu skutkiem pogwałcenia umowy zawartej w r. b. między związkiem robotniczym i fabrykantami, a ustanawiającej podwyższenie płacy o 10%. Pewien fabrykant umówioną wyższą podzielił w ten sposób, że płaca za niższe gatunki podniesioną została tylko o 3%, za wyższe zaś o 20% i 30%. Ponieważ jednak wyższe gatunki wyrabia się w nader ograniczonej ilości, robotnicy więc uważają się za pokrzywdzonych. Tymczasem świeżo zorganizowany związek przemysłowców nie tylko poparł przemysłowego fabrykanta, ale zażądał rozwiązania związku robotniczego. Z tego powodu wybuchł strejk, w którym bierze udział 6,000 ludzi.

W Paryżu redaktor anarchistycznego dziennika *Père Peinard*, Fargout skazany został na 2 lata więzienia i 3,000 fr. kary.

W Genewie prokuratorja wytoczyła sprawę kilku socyjalistom, oskarżonym o podlegające mowy przeciwko zaprzysiężonemu z Szwajcaryją rządowi.

Stronnictwo katolickie w Belgii zaczyna utrzymywać, że głosowanie powszechne wymaga logicznie politycznego równouprawnienia kobiet. Chodzi to widocznie o to, że, zdaniem tego stronnictwa, dopuszczenie kobiet do głosowania zrównoważyłoby mogło straty, jakie poniosłoby stronnictwo w razie powołania do głosu warstw robotniczych.

KRONIKA LITERACKA.

Duchy czarnego boru, czyli kamienne serce. (z obrazkami). Warszawa 1890.

Ratowanie bydłęcia odętego. Napisał *K. Dułęba*. Warszawa 1891.

Błogosławiona roślinal Łubin. Jego uprawa i pożytek dla gospodarstw włościańskich. Napisał *M. Dobrski*. Warszawa 1890.

Wszystkie te trzy powyższe książeczki wyszły z drukiem *Jeżyńskiego* i przeznaczone są dla ludu.

Encyklopedia humoru. Nakł. *M. Wołowskiego*. Zeszyt XXXII.

Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Napisał *M. Heilpern*. Z 25 drzew. w tekście. Warszawa 1891. Nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki.

Nauka wychowania. O wychowaniu fizycznym. Nap. *Józef Ksawery Hendigery*. Warszawa 1890. Nakł. autora.

Gość. Kalendarz *K. Promyka* na rok 1891. Wydawnictwa rok XI. Nakł. red. „Gazety Świątecznej” i księg. krajowej *K. Prószyńskiego*.

Strzecha rodzinna. Kalendarz na rok 1891. Zebrał i wydał *E. Kolinski*. Rocznik VI.

Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana. Warszawa 1890. Nakł. *S. Sikorskiego*, tom I i II. (A. Ammophila).

Wydane 16 zeszytów tego wielkiego wydawnictwa tworzą 2 duże tomy (1056 stronice razem); zdoła je 354 drzeworytów i 18 tablic litograficznych i kolorowanych. Wydawnictwu temu poświęcimy wkrótce obszerniejsze sprawozdanie, dziś zaznaczymy tylko, że biorą w niem udział bardzo poważne siły naukowe i że tablice kolorowane są piękne, a większość drzeworytów wcale niezła.

Niesalawiona kwestja kwestja kwestja ortograficzna. Napisał *Jan Karłowicz*. Warszawa 1890. Nakł. autora.

Jedna z kwestji spornych pisowni polskiej. Napisał *J. Baudouin de Courtenay*. Warszawa 1890. Nakł. autora.

Obie broszurki poświęcone są tej samej kwestji ortograficznej, dosadnie wyrażonej przez p. Karłowicza w

tytule jego pracy. Zdaniem autora najwłaściwszą pisownią jest „kwestja”, „manja” (przez samo j), najbliżej bowiem odpowiada ona wymawianiu, ogólnie przez klasy inteligentne przyjętemu. Oprócz tego pisownia taka ma tę zaletę, że pozwala uwydatnić w druku różnice wymawiania zakończenia — „ja”. W poezji, powieści, w studyjach gwarowych potrzebujemy nieraz wskazać, że dany wyraz (np. *komisija*) wymówić należy nie w sposób zwykle przez nas przyjęty (w 3 zgłoskach), lecz inaczej (jako wyraz czterogłoskowy *ko mi-sy ja*). Zarzuty czynione propagowanej przez siebie pisowni uważa autor za bezpodstawne, lub przesadzone, zbija je z wielką werwą, dowodząc przez to, że zapalać się i unosić można nie tylko do kwestji społecznych i politycznych, ale nawet i do ortograficznych. Pr. Baudouin de Courtenay w obszerniejszej nieco broszurze, będącej streszczeniem większej pracy, ukazał się mającej w *Pracach filologicznych* brosi tej samej, co p. Karłowicz, zasady.

Studenci polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI i XVII wieku. Napisał *Mathias Bersohn*, czł. pozn. tow. prz. nauk. Kraków 1890.

Na ścianach starożytnego uniwersytetu bolońskiego dotąd znajdują się tytuły, herby i nazwiska uczniów różnych narodowości, którzy podczas pobytu swego odznaczyli się pilnością, zdolnościami i prawością charakteru. P. Bersohn, zwiedzając uniwersytet boloński, przepisał nazwiska i przerysował herby studentów polaków i obecnie podaje je do wiadomości ogółu, zaopatrzony wzmiankami biograficznymi, o ile można było je zabrać.

Rocznik Płocki. I. Kalendarz dla Płocka okolicy na rok zwyczajny 1891. Pod redakcją *Z. I. Naimskiego*. Płock, 1890. Cena kop. 30.

Smutne świadectwo stosunkom miejscowym dał w przedmowie wydawca *Rocznika*. Puszczając w świat kalendarz, sumiennie zredagowany, z dobrze pomyślanym doborem pożytecznych informacji i artykułów, wyraża obawę: czy znajdzie on czytelników. Tensam nastroj zdradza kronikarz, kiedy mówi o ruchu umysłowym Płocka. Kto za naszą prowincyję, zrozumiem ten brak wiary w jakiekolwiek usiłowania na polu wydawniczym i w możność podziałania na masy słowem drukowaniem. Tu tymbardziej odebrał mógł wiarę los poprzednich wydawnictw kalendarzowych, wreszcie zgon *Korespondenta Płockiego*. Za szczęśliwą dla kalendarza prowincjonalnego myśl uważać należy wprowadzenie do działu literackiego artykułów z dziedziny krajoznawstwa. Mamy ich tutaj dwa: „Stosunki etnograficzne w g. Płockiej” przez Stanisława Chelohowskiego i „Cztery gminy nad granicą pruską” przez W. Dmowskiego. Pierwszy z nich, szkicowo traktowany, ma dużą wartość, jako próba naukowego rozgraniczenia miejscowych grup etnograficznych: Kurpiów, Mażurów i Dobrzyńiaków.

KRONIKA. Powszechna

— **Rozporządzenia rządowe.** Ministerjum oświecenia wyjaśniło, iż od ówcozeń wojskowych wolni są nietylko studenci, pozostający w uniwersytetach, lecz i ci, którzy ukończyli kursa, jednak nie złożyli jeszcze przed komisjami wymaganych egzaminów, wszyscy oni jednak muszą te ówcożenia odbyć później. — Prokurator izby sądowej warszawskiej wydał okólnik w kwestyi zwiększenia represyi w sprawach bankructw. — Od d. 13 stycznia będą wycofane z obiegu butelki kwartowe i półkwartowe, w jakich sprzedają spirytualija.

— **Życie społeczne.** W r. z. wydano z gub. radomskiej 83 rodziny żydów zagranicznych, z kieleckiej 104, z lubelskiej 789 osób, z piotrkowskiej 368 rodzin, z suwalskiej 31, z Warszawy 343. Z innych gubernij liczba wydalonych niewielka. — W roku przyszłym mają być w Finlandyi wprowadzone marki pocztowe ruskie. — W Piotrkowie sąd okręgowy skazał Krauzego, poddanego austriackiego, na oddanie do oddziałów aresztanckich na rok za poddawianie do emigracji do Brazylji. Jest to pierwszy proces tego rodzaju. — Z Włocławka donoszą, że na granicy władze codziennie zatrzymują emigrantów. — W ostatnich czasach w jednym tygodniu wyemigrowało z Mińska gubernijalnego przeszło stu żydów do Ameryki. — Przy towarzystwie opieki nad zwierzętami w Warszawie powstało stowarzyszenie dam.

— **Kronika ekonomiczna.** Towarzystwo kredytowe m. Warszawy w ostatnim roku sprawozdawczym udzieliło pożyczek na 1,639,400 rs., nieumorzonych zaś pożyczek na nieruchomościach miejskich jest 33,611,912 rs. 32 k. — Rada państwa wkrótce będzie rozbięrała projekt zapobieżenia wychodzeniu z rąk włościan gruntów, otrzymanych przy uwłaszczeniu. Podług projektu ma być wzbronione wydziedziczenie włościan z takich gruntów w drodze prawnej. Pozbycie gruntów może być dozwolone jedynie, jeśli nabywcą będzie włościanin. Grunta nadziałowe nie mogą być zastawiane, ani sprzedawane na licytacyi na zaspokojenie wierzycieli prywatnych. — Tram-

waje warszawskie w r. z. miały zysku 631,924 rs. 20 k. — Wielka kompanija kapitalistów francuzkich ofiaruje rządowi ruskiemu swe usługi i kapitały, celem budowy nowych linii kolejowych. — Kasa zjednoczenia służby kolei wiedeńskiej miała w roku ostatnim dochodu 361,373 rs. 28 kop., wydatki zaś wynosiły: na pensyje emerytalne 177,878 rs. 67 kop., zwroty składek wyszłym ze służby 5,038 rs. 2 kop., utrzymanie administracyi i t. p. 6,526 rs. 56 kop., zwrot forsusu towarzystwa kolei 12,826 rs. 98 kop., czyli razem 202,250 rs. 23 kop. Członków było 3,622. — Ministerjum skarbu nie zgodziło się na projekt zaprowadzenia państwowego monopolu tytoniowego. — W Królestwie Polskim w 1888 r. było przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, opłacających podatki składkowy — 7,815, należących do 6,284 właścicieli, roczny obrót ogólny 248,872,800 rs., zysk 12,176,730 rs. — Ministerjum spraw wewnętrznych opracowuje projekt zawieszania w święta zajęć w sklepach, fabrykach, warsztatach i t. p. — Podobno linija kolei pruskiej, dochodzącej do Ostrowa, ma być przedłużona w kierunku ku Kaliszowi aż do wsi Skalmierzycze nad samą granicą.

— **Szkoly i oświata.** Rektorem uniwersytetu warszawskiego ma być podobno mianowany p. Szczegłow, rektor uniwersytetu charkowskiego. — Ministerjum oświecenia postanowiło dodać godzinę tygodniowo do lekcyj matematyki w ósmej klasie gimnazjów klasycznych. — Naczelnik zakładów górniczych w Królestwie Polskim ozyini starania o ustanowienie mundur dla uczniów szkoly sztygarów w Dąbrowie. — W Sosnowicach powstaje czytelnia pism peryjodycznych i książek. — Księgarze warszawscy twierdzą, że włościanie znacznie więcej nabywają obecnie elementarzy, aniżeli dawniej. — W Austrii zakazano przeciążać uczniów domowymi zadaniami piśmiennymi. Dr. Teodora Krajewska została asystentką prof. Sohiffa w Genewie.

— **Literatura i sztuka.** Verdi napisał nową operę p. t. *Falstaff*. — Księgarnia nakładowa Lewentala ogłasza prospekt na *Pamiętnik ilustrowany* F. Kostrzewskiego. — Muzik zamieścił w *Kwietach* przekład czeski *Sonetów krymskich* Mickiewicza. — W sierpniu w Bernie odbędzie się międzynarodowy kongres geograficzny. — W Paryżu zaczęło wychodzić pismo p. t. *Revue des mathematiques speciales*, pod redakcją Niewęgłowskiego. Pismo to przeznaczone jest głównie dla kandydatów, gotujących się do egzaminów w wyższych specjalnych zakładach i ogłasza zagadnienia i rozwiązania zagadnień, zadawanych kandydatom. — Siemiradzki pracuje nad wielkim obrazem p. t. *Apoteoza Kopernika*. — Rubinstein zrzekł się dyrektorstwa konserwatorium muzycznego petersburskiego. — Towarzystwo dramatyczne Kości leckiego rozpoczęło przedstawienia w Petersburgu. — Warszawskie towarzystwo lekarskie ogłosiło konkurs z nagrodą 240 rs. za najlepszą pracę oryginalną z dziedziny nauk lekarskich lub pomocniczych, ogłoszoną drukiem po polsku od d. 12 kwietnia 1888 r. do d. 31 grudnia 1892 r. — *Wiek* zapowiada wyjście z druku wyboru dzieł Junoszy.

Kozmałtości. W r. z. spalono we Włoszech 1,403 trupy, w Niemzech 128, w Anglii 100, w Szwecyi 50, we Francyi 532. — Uniwersytet w Cambridge mianował kompozytora czeskiego Dworzaka doktorem muzyki. — Zaległości kar za niestawienie się do służby wojskowej żydów wynoszą w jednej tylko gub. kowieńskiej 600,000 rs. — We Lwowie na otwartych w dyrekcji skarbowej 20 wakansów dyjatoryjuszów z placą 70 centów dziennie zgłosiło się stu kandydatów, między którymi kilkunastu z wyższem wykształceniem. — We wsi Gombory, w gub. tyfliskiej, przed laty 30 osiedliło się kilkanaście rodzin z Królestwa Polskiego, przezwano je żołnierzy dymisyonowanych. Gospodarka idzie im dobrze.

— **Nekrologija.** Adolf Wentzel, ceniony aktor niemiecki, zm. w Sztutgardzie. — Aleksander Hoppe, pejżażysta, zm. w Kolonii.

Adres: ulica Necała
Nr 42.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XXXIII.

Przyjmuje się prenumeratę na gazetę codzienną

NOWOSTI

na rok 1891.

WARUNKI PRENUMERATY:

na I (wielkie) wydanie

	Na rok	11 m.	10 m.	9 m.	8 m.	7 m.	6 m.	5 m.	4 m.	3 m.	2 m.	1 m.
	rs.	kop.	r.	k.	r.	k.	r.	k.	r.	k.	r.	k.
Bez przesyłki	14	50	13	—	12	—	10	50	9	80	9	—
Z przesyłką pocztą miejską	16	—	15	—	13	50	12	—	11	—	10	—
Z przesyłką na prowincyję	17	—	15	50	14	50	18	50	12	50	11	30
Za granicę	26	20	24	50	23	—	21	—	18	50	16	—
Do krajów, nienależących do związku pocztow.	47	—	44	—	41	—	38	—	35	—	32	—

Prenumerata roczna rozkłada się na 3 raty dla urzędników za pośrednictwem kasyerów, dla innych—według umowy, przytem zamiejscowi płać przy zapisie 7 rs., w końcu marca 7 rs. i w początku sierpnia 3, miejsce przy zapisie 5 rs. 50 k., w końcu marca 5 rs. 50 kop. i w końcu czerwca 5 rs.

Prenumeratę przyjmuje się tylko od 1 każdego miesiąca i nie dalej jak do końca roku.

Pieniądze i listy adresować należy: Petersburg, kantor gazety „Nowosti” (Newskij Nr. 10), telegramy: Petersburg, Nowosti.

na II (małe) wydanie:

	Na rok	11 m.	10 m.	9 m.	8 m.	7 m.	6 m.	5 m.	4 m.	3 m.	2 m.	1 m.
	rs.	k.	r.	k.	r.	k.	r.	k.	r.	k.	r.	k.
Z przesyłką w mieście	9	—	8	50	8	—	7	50	7	—	6	50
Z przesyłką na prowincyję	10	—	9	50	9	—	8	50	8	—	7	—
Za granicę	18	—	—	—	—	—	—	—	—	—	10	—
Do krajów, do związku nie należących	39	—	—	—	—	—	—	—	—	—	20	—

Prenumeratę roczną rozkłada się na 3 raty dla urzędników za pośrednictwem kasyerów, dla innych według umowy. Prowincjonalni opłacają przy zapisie 4 rs., w końcu marca 3 rs. i w końcu lipca 3 rs., miejsce przy zapisie 3 rs., w końcu marca 3 rs. i w końcu czerwca 3 rs.

Prenumeratę przyjmuje się od 1 każdego miesiąca i nie dalej jak do końca roku bieżącego.

KSIEGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki

w Warszawie, Nowy Świat Nr. 41.

Poleca następujące dzieła, świeżo wydane własnym nakładem:

	rs.	k.
Amicus Edmund. Na oceanie	1	—
Bert Paweł. Pierwszy rok nauczania	1	50
Bolrac Emil. prof. fil. Zasady filozofii. Przełożył Adolf Dygasiński	4	25
Bolszobey F. de. Zamknięte usta. Romans	—	75
Cullerre A. dr. U wrót obłędu. Studium psychologiczne	1	50
Czech Świętopłk. Wycieczki pana Bronczka	1	—
Dygasiński Adolf. Pan Jędrzej Piszczalski. Opowieść z niedawnej przeszłości, 2 tomy.	1	80
Farjeon B. L. Tajemnica Porter-Square. Powieść	1	—
Gliński Kasimierz. Czarodziejka. Romans	1	20
— Wspomnienie Tatrzów. Skreślił wierszem	—	50
Hellpern M. Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie	1	50
Heryng Zygmunt. „Rubel.” Studium ekonomiczne.	1	—
Historja naturalna w obrazach. Zoologja w 250 kolorowanych obrazkach, z tekstem Adolfa Dygasińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic.	3	—
„Jak można w małżeństwie nawet znaleźć szczęście.”	1	20
Junosza Klemens. Z zapadłych kątów. Obrazki	1	50
Laveleye Emil. O zbytku.	—	30
Montegazza Paweł, prof. antrop. Głowa. Książka dla młodzieży	1	20
— Wiek obłudy	—	40
Marya. Z dziejów boleści. Nowelle	1	—
Maupassant Guy de. Jak śmierć silne. Powieść	—	75
Mosso Angelo. Strach Studium popularno-naukowe z fizjologii i psychologii	1	50
Musset Alfred de. Poezyje	—	75
Myszyńska Antonina. Marnotrawni. Powieść współczesna	—	75
Nagel Henryk. Sep. Romans kryminalny	1	50
Richebourg Emil. Dwie matki. Romans	1	50
Rodzielewska Maryja. Nowelle	1	80
— Obrazki	1	20
— Ona. Powieść	—	75
Rogosz Józef. Na dziejowym przelomie. Powieść historyczna z XV w. 2 t.	4	—
Seignobos Ch. dr. Historja cywilizacji. Przełożył Adolf Dygasiński. Ze 177 drzeworytami w tekście	5	20
„Świat kobiecy”	1	20
Tchórzniński J. dr. Listy do młodzieńca o wyborze stanu	—	60
Witkiewicz Stanisław. Sztuka i krytyka u nas	2	50
Zapolska Gabryela. Fantazyje i drobnostki	1	50

Specjalny Magazyn Ubiorów Dziecinnych

S. PRZEŹDZIECKIEGO

ulica Hr. Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej

Dom Hr. Krasieńskiego

Zaopatrzone zostały na obecny sezon w wielki wybór konfekcji dziecięcej, jak również Mundury, Bluzy i Szynete dla uczni, z towarów wyborowych, po cenach umiarkowanych.

Magazyn przyjmuje zamówienia na wykwinną garderobę Męską oraz Okrycia i Żakiety damskie w fasonach angielskich.

JÓZEF ŚWIĄTKOWSKI

SZEW C DAMSKI I MĘZKI

w Warszawie Bielańska Nr. 9

(Hotel Paryski)



poleca obowie na każdy sezon

PP. studentom i uczniom ustępuje się procent.

Świeża herbata czarna, wyborowe gatunki, W. Lewandowskiego, Warszawa, Chmielna 24. Kupcom i stowarzyszeniom spożywczym rabat. 3—3

SZKICE

ADAMA SZYMAŃSKIEGO

Tom pierwszy. Wydanie drugie, wyszło z druku. Cena 1 rs. Nabywający u autora: Petersburg Zacharjewskaja Nr. 11, m. 2, kosztów przesyłki nie ponoszą. Księgarniom 33^o/o.



NOWOŚĆ

obracająca się

SZCZOTECZKA

do czyszczenia higienicznego zębów. Sprzedaż u

MICHAŁA PIK MIODOWA 6

i w znaczniejszych perfumeryjach.

3—1

Nowy Świat Nr. 31 (Róg Chmielnej)
Najtaniej

Zegarki złote, srebrne, nikłowe i stalowe najcenniejszych fabryk Genewskich jako nowość, nakręcające się co 8 dni Zegary stołowe i ściennie. Szkatułki samogrające

B żuteryje złote i srebrne najnowszych fasonów, oraz wszelkie reperacje poręcza się na lat dwa. Zamówienia z prowincyi wysyła się za zaliczką pęczkową. Cenniki franco.

12—5

M. POZZI
W WARSZAWIE

№ 31 NOWY ŚWIAT ROG CHMIELNEJ № 31

DOSTAWCA DWORU
Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



„EXSICCATOR”

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wyśłam franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

Pince-nos, Okulary, Perspektywy teatralne, wyłącznie z pierwszorzędnych fabryk, w najnowszych fasonach, poleca najtaniej optyk

Juljan Dreher

Szpitalna Nr. 6.

Wszelkie reperacje przyjmuje.
6—2